AS



Nr. 34 CENA 40 GROSZY // DZIEWCZĘ Z BUZIĄ JAK MALINA...

Małżeńskie wywczasy

TADEUSZ BILIŃSKI

ILUSTR. A. ŻMUDA

— Baw się dobrze, a pisz często!

— I ty również...

Jeszcze jedno wszechogarniające spojrzenie, a w niem skondensowana tkliwość, czułość, melancholja i rzewny smutek.

Pociąg ruszył. Tonio wydobył pospiesznie chustkę i począł nią wywijać, idąc obok wagonu, z którego wybłysła raz jeszcze „łzawo" uśmiechnięta twarz jego żony. Za nim szła jakaś niewiasta i powiewała również chustką ku wychylającemu się po pas mężczyźnie, który posyłał jej raz po raz całusy.

W pewnej chwili Tonio przystanął, kiedy pociąg opuścił halę i rozpłynął się w oddali, i, westchnąwszy (z żalu, czy też z ulgą?), zawrócił ku wyjściu. Przed nim szła nieznajoma. Chcąc nie chcąc, Tonio musiał zauważyć, że ma przed sobą parę bajecznych nóżek, obciągniętych pajęczyną miedzianej pończoszki. Reszta wydawała się niezgorsza, o ile można było stwierdzić z tyłu. Tonio przyspieszył kroku, ale o tyle tylko, aby nie spłoszyć nieznajomej i, wymijając ją, spojrzał przelotnie a wnikliwie w twarz...

— Klasa! — zaopinjował, więcej z nałogu, niż z... przekonania i uśmiechnął się na... wszelki przypadek. Z pod przesłony długich rzęs, wyjrzały na chwilę turkusowe oczy... trochę zdziwione i zaniepokojone i... odwzajemniły — tak przynajmniej zdawało mu się — jego uśmiech...

...Przedstawić się, czy nie?! — wahał się — a... może nie wypada... tak zaraz po odjeździe żony?!... a... zresztą... było nie było... spróbować nie zawadzi...

Tonio odwrócił się twarzą ku nieznajomej, która zwolniła kroku i... badał sytuację. W kącikach ust pięknej blondynki dojrzał ledwo dostrzegalny uśmieszek... To go zachęciło... Ale jak zacząć?!... mam, już mam...

— Przepraszam za śmiałość — zdobył się na odwagę, uchylając kapelusza — ale o ile mi się zdaje — łaskawa pani — oboje jesteśmy w podobnej sytuacji... Ja odprowadziłem żonę, a... pani zapewne... męża?!...

— — — — — —

— Pozwoli pani, że się przedstawię... Teodor Link, inżynier.

Nieznajoma przyspieszyła kroku, jak gdyby chciała uciec przed natrętem.

— Łaskawa pani jest zapewne oburzoną moją śmiałością... Rozumiem i przyznaję rację, że ulica nie jest stosownem miejscem do zawierania znajomości... i proszę z tego powodu nie sądzić źle o mnie... ale ta niezwykła, a podobna dla nas obojga... sytuacja...

— — — — — ?

— Myślę właśnie o tem, że jesteśmy oboje „słomiani"... ja „wdowcem", a łaskawa pani... „wdową"...

— — — — — !

— Jeśli łaskawa pani czuje się dotkniętą mojem natręctwem i życzy sobie, abym odszedł, to... przepraszam najmocniej... i uchylił znów kapelusza, jak gdyby zamierzał odejść.

— No... bezczelności to panu nie brakuje! — odezwała się wkońcu i obrzuciła natręta „wyniosłem" spojrzeniem. Głos jej jednak świadczył nie tyle o wzburzeniu, co raczej o „sui generis"... uznaniu dla „wytrwałości" Tonia.

...Nareszcie — zatriumfował w duchu Tonio, dumny, że atak „flankowy" odniósł sukces i „obraz przemówił".

Po ruszeniu z „martwego punktu" rozmowa sklecila się jakoś i potoczyła się już gładko. Tonio wnet dowiedział się wszystkiego, co mu było potrzeba. A więc, że: „piękna pani" nazywa się Olga Żarska, że nie mogła towarzyszyć mężowi w podróży do Zakopanego. ponieważ musiała pozostać przy chorej matce, że mąż, który jest prokurentem banku, rozpoczął kilkutygodniowy urlop, na który pojechał sam i... że... ostatecznie może nie miałaby nic przeciwko temu, aby — jak to proponował Tonio — pójść któregoś wieczora do kina, skoro Tonio, — który urlop swój miał zacząć dopiero za kilka tygodni — nie uważa za konieczne „skazywać się" na kanikularne nudy.

Ani się spostrzegli, jak znaleźli się przed jej domem.

— Do widzenia...

— Do rychłego zobaczenia...

. . . .

Z ciężkiem westchnieniem oderwała się pani Nina od okna, kiedy sylwetka męża, powiewającego chustką, rozpłynęła się w oddali. Weszła do przedziału, gdzie siedział jakiś pan w „sile wieku" i czytał „Kuryera":

Aby zabić nudę wlokącej się beznadziejnie jazdy, sięgnęła do torebki podręcznej po Wallaca „Łowcę głów".

— 6 godzin — myślała z przerażeniem i żal miała do męża, że nie pojechał z nią razem do Zakopanego. Wogóle nie mogła opędzić się przykremu wrażeniu, że mąż przyjął jej odjazd z pewnem, nie dającem się ukryć, zadowoleniem, chociaż minę miał oficjalnie dość przeciągniętą.

„Naturalnie... tylko czekał na to, aby móc „zażyć" wolności i swobody — rozgoryczała się — i teraz zapewne układa już sobie plan kampanji donjuańskiej na czas najbliższy.

„Och... wstrętni ci mężczyźni"! Aby zamanifestować swój wstręt i pogardę dla wszystkich mężczyzn... bez wyjątku, wydęła z niesmakiem usta i odwróciła się gwałtownie do okna; zwłaszcza, że poczuła wzrok podróżnego z naprzeciwka łakomie pełzający po jej smukłych nogach od bucików po kolana.

Pan z „chciwemi oczyma" zakrył się dla niepoznaki gazetą i udawał naraz niewiniątko, co jednak nie przeszkadzało mu od czasu do czasu zerkać poprzez płachtę dziennika, ale już krótko i „rzeczowo".

Pani Nina rozpłaszczyła rasowy nosek o szybę okna i ze skupieniem usiłowała liczyć białe słupki kilometrowe; ale to nie bawiło ją długo i powróciła znów do lektury kryminalnego romansu; cóż, kiedy żadną miarą nie mogła odnaleźć się w mocno pogmatwanych perypetjach kryminalistycznych i z tępą rezygnacją postanowiła nudzić się... bez książki. W pewnej chwili wzrok jej mimowolnie poszybował w stronę pasażera, który — widocznie już całkiem skruszony — rozczytywał się zapamiętale w „Kuryerze".

Pani Nina stwierdziła — tak sobie od niechcenia, że jest wcale... wcale „do rzeczy": gustowny krawat... dobrze skrojony sportowy garnitur... włosy starannie przyczesane, osrebrzone na skroniach, rysy regularne, nos trochę krogulczy.. a oczu nie widziała, bo utkwione były w gazecie.

Na to wszystko wystarczył jej jakiś ułamek sekundy, bo zaraz „uciekła" z oczami do książki, aby nie zdążył zauważyć tej lustracji.

Ale jego czujnemu, a raczej przyzwyczajonemu oku nie uszło to muśnięcie spojrzeniem zadąsanej towarzyszki i już zachęcony począł śmielej i bardziej jeszcze zachłannie wodzić żarłocznemi oczami już nie tylko po jej łydkach, ale i wzdłuż wzorowej linji bioder i ramion i z uznaniem zatrzymał się dłużej na efektownie „zrobionej" twarzycce z ciemną krwistą plamą ust, starając się wślizgnąć pod powieki skrywające zazdrośnie tajemnicę ócz, aby tam zapuścić sondę wnikliwego spojrzenia.



Panią Ninę drażniły, ale też i... ekscytowały mile te chłonne, uporczywe spojrzenia, przebiegające celowo i systematycznie wzdłuż i wszerz wypielęgnowanego ciała. Czuła, że prawdziwie się podoba i... zapragnęła podobać się jeszcze bardziej, dlatego otworzyła torebkę i stwierdziwszy w lusterku, że „ton" twarzy ucierpiał znacznie z powodu upału, poczęła dyskretnie przypudrowywać koniec noska i umiejętnie rozprowadzać pyłek pudru po całej twarzy. Zkolei zwilżyła nieco języczkiem usta i „zrobiła" je wprawnie sztyfcikiem karminu i poprawiwszy, ale już tylko palcami, wąski łuk brwi, zamknęła z powrotem torebkę i wsunęła się głęboko w plusz siedzenia, a oczy zapatrzone w „głąb swoją własną" utkwiła ponad głową swego „vis-a-vis" w jego walizce.

Dokończenie na str. 29-ej.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). — TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.
PRZEKAZ ROZRACHUNKOWY Nr. 11 PRZEZ URZ. POCZT. KRAKÓW 2.

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.
CENA W CZECHOSŁOWACJI Kc. 2.50
CENY OGŁOSZEŃ: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600 Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor. prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 34 **Niedziela, 21 sierpnia 1938** **Rok IV**

ASY NUMERU 34-GO:



W krajach anglo-saskich sport konny kultywowany jest przez kobiety z równem zamiłowaniem, jak przez mężczyzn. Dlatego kobieta na torze wyścigowym, czy też na przeszkodach konkursów hippicznych nie należy tam do rzadkich zjawisk i zdobywa często nagrody, imponując stylem i techniką jazdy oraz opanowaniem konia. Szczególnie Amerykanki, odznaczające się wogóle talentem do sportu, celują w brawurowej jeździe konnej, czego przykłady oglądamy często na filmach, w niejednym wypadku opartych w swej fabule właśnie na tych wysokowartościowych umiejętnościach hippicznych bohaterek ekranu. Na zdjęciu grupa amazonek kalifornijskich.

Z ŻYCIA POTWORÓW MORSKICH

REKINY



Rekin czyli żarłacz olbrzymi (Selache maxima) z przyczepionym na prawym boku tarczogłowem.



Na lewo: Rodzina tarczogłowów wyczekująca na dnie morza okazji, by przyczepić się do cielska przepływającego rekina z pomocą widocznej na głowie tarczy z ssawkami.

Szybki wzrost ludności naszego globu i niezwykły rozwój techniki ostatnich dziesiątków lat sprawiły, że coraz bardziej zmniejszają się obszary, na których mógłby swobodnie rozwijać się świat roślin i zwierząt. Postępująca nieubłaganie zagłada pierwotności natury obejmuje przedewszystkiem zwierzęta większe, potrzebujące znacznych przestrzeni, nie niepokojonych obecnością człowieka. A tych jest coraz mniej. Do niedawna pospolite i licznie żyjące zwierzęta stają się rzadkiemi. Dla ratowania ich i niedopuszczenia do zupełnego wytępienia wprowadza się zakazy polowań i stwarza rezerwaty i parki narodowe, stanowiące jakby oazy swobody dla zwierząt.

Jedynie w wielkich zbiornikach wodnych, w oceanach panuje swoboda życia niemal niezależna od niszczyciela-człowieka. Nieliczne tylko gatunki zanadto odczuwają prześladowania ze strony groźnego wroga, wyruszającego na łowy, z którym trudno podejmować nierówną walkę. Olbrzymia jednak większość świata podwodnego żyje swem własnem życiem, jak żyła przed setkami czy tysiącami lat.

Jedną z najistotniejszych cech życia w oceanach, to bezmiar przestrzeni i możność swobodnego przenoszenia się na olbrzymie odległości. Naturalnie i tu istnieją pewne gatunki, żyjące tylko w pewnych obszarach — jedne przywiązane do mórz ciepłych, inne do chłodniejszych czy polarnych — pewne związane z brzegiem morza czy jego powierzchnią, inne znowu przystosowane do życia w niezmierzonych głębinach i na dnie oceanów. Niema jednak tych granic i małych powierzchni, znanych z lądu, gdzie na danym obszarze żyją tylko pewne gatunki, związane naturalnemi warunkami.

Różnorodność świata głębin morskich jest niemała. Niewiele mamy sposobności, by zetknąć się z tem życiem, ukrytem przed okiem człowieka. Liczne jednak wyprawy specjalnie wyposażonych statków badawczo-naukowych przynoszą nam ciągle nowe formy i wzbogacają nasze wiadomości o mało znanem i często tajemniczem życiu ryb i innych mieszkańców wód. Wiele światła na życie w głębinach rzuciły sławne wyprawy amerykańskiego badacza Williama Beebe'a, który w stalowej kuli śmiało spuścił się w mroczną toń oceanu.

Wśród świata ryb nie brak i prawdziwych olbrzymów, przewyższających znacznie największe zwierzęta lądowe. Do tych należą przedewszystkiem rekiny.

Rekiny czyli żarłacze — to grupa ryb, które zawsze wzbudzały zainteresowanie nietylko u rybaków i przyrodników, lecz także i u najszerszego ogółu. Niewątpliwie wpłynął na to ich olbrzymi wzrost, dochodzący do kilkunastu metrów długości, oraz wielka żarłoczność i drapieżność, charakterystyczna dla niektórych zwłaszcza gatunków. Niezliczone historje krążą o napaściach tych morskich tygrysów na rybaków, a pojęcie rekina używane jest w życiu codziennem jako określenie bezwzględnej drapieżności.

Zoologowie zaliczyli rekiny do podgromady ryb chrząstkoszkieletowych, t. j. takich, których szkielet nie jest skostniały, lecz chrząstkowy. Za największego uchodzi żarłacz olbrzymi (Selache maxima) o długości 10—12 metrów i wadze kilku tysięcy kilogramów. Najciekawszą rzeczą jest to, że ten prawdziwy olbrzym o groźnym wyglądzie nie jest drapieżnikiem, jak wielu jego krewniaków. Żywi się rozmaitemi drobnemi żyjątkami morskiego planktonu. Aby zaspokoić potrzeby tak olbrzymiego cielska, którego obwód dochodzi nieraz do 8 metrów, żarłacz olbrzymi musi pochłaniać olbrzymie ilości tych drobnych zwierzątek. W tym celu posiada on, podobnie jak wieloryb (który — przypomnijmy — nie jest wcale rybą, lecz wielkim ssakiem wodnym), filtrujący aparat fiszbinowy w postaci jakgdyby grzebienia, na którym osadza się zawarte w wodzie pożywienie. Na żarłacza tego ludzie zawzięcie polują ze względu na wątrobę, z której wyrabia się doskonały tran; osiąga on wagę 20 kwintali. Z mórz północnych dochodzą żarłacze olbrzymie i na wody niemieckie, a wzdłuż wybrzeży francuskich aż do Morza Śródziemnego; w Oceanie Spokojnym dosięgają Kalifornji.

Bliskimi krewniakami żarłacza olbrzymiego są żarłacze ludojady, zwykle oznaczane nazwą rekinów. Są to gatunki drapieżne, które nazwę swą zawdzięczają stwierdzonym napaściom na ludzi. Najbardziej znany jest żarłacz ludojad (Carcharias glaucus), do-

ciąg dalszy na str. 6-ej.

„TRAMWAJ" GŁĘBIN OCEANU



dokończenie ze str. 4-ej.

chodzący do 7 metrów długości. Grzbiet, górną część głowy ma zabarwione na niebieskawo, część spodnią na biało. Jest on dosyć pospolity w Morzu Śródziemnem oraz wszędzie w Atlantyku. W dalekich wędrówkach zapędza się aż do wybrzeży Norwegji.

Żarłacze ludojady żyją zarówno w pobliżu wybrzeży, jak i na pełnem morzu. Zwykle pływają w powierzchniowych warstwach wody, chociaż mogą zanurzać się do znacznych głębokości. Zdala są widoczne po pletwie grzbietowej wystającej ponad powierzchnię wody. Odznaczają się wielką siłą, niezwykłą szybkością poruszeń i zwinnością. Dobrze rozwinięte mają zmysły wzroku i węchu. Również pod względem inteligencji stoją wśród ryb wysoko, o czem świadczą np. gromadnie organizowane polowania czy troskliwość względem potomstwa. Żywią się przedewszystkiem innemi rybami, które rzadko tylko uchodzą przed potężnymi drapieżnikami. Nie gardzą jednak i głowonogami i innemi morskiemi zwierzętami.

Często towarzyszą gromadnie na znacznych przestrzeniach przepływającym statkom, oczekując zrzucenia resztek żywności, na które rzucają się z wielką łapczywością. Żarłoczność rekinów jest olbrzymia: chwytają wszystko, co jest jadalne lub takiem się im wydaje. Stąd nieraz w żołądkach upolowanych rekinów znajdywano kawałki lin okrętowych, szmaty, odłamki drzewa, a nawet kawałki żelaziwa, zrzucanego ze statku. Często też padają ofiarą swej żarłoczności. Od kilkanastu bowiem zwłaszcza lat dosyć popularny stał się sport polowania na rekiny, które łatwo biorą bylejaką przynętę.

Polowanie na te drapieżniki odbywa się przy pomocy specjalnych węd, przyczem rolę haczyków odgrywają haki kilkulub nawet kilkunastofuntowe, a do ściągania potwora służy linka stalowa. nieraz dochodząca do półcalowej średnicy. O ile schwytany rekin posiada znaczniejsze rozmiary, wyciągnięcie go nie jest łatwe i nieraz stanowi walkę parogodzinną. — Zdarza się, że po długich zapasach potężne szczęki rekina potrafią przeciąć i linkę stalową i w ten sposób może on uwolnić się i zniknąć w głębinach.

Napaści rekinów na ludzi są znane, chociaż nie zdarzają się tak często, jak to nieraz czyta się w prasie. Zdarzają się nawet wypadki porywania ludzi z plaż uczęszczanych przez większą ilość kąpiących się. Zuchwałość niektórych osobników jest tak wielka, że podpływają tuż pod płaski brzeg i atakują na płytkiej zupełnie wodzie. Rany zadane przez rekina są straszne. Momentalnie potrafi on odgryźć rękę czy nogę i napadnięty, nawet natychmiast wyciągnięty z wody przez towarzyszy, niemal zawsze szybko ginie z upływu krwi. Stąd też wielka nienawiść, a nawet okrucieństwo, z jakiem odnoszą się rybacy i marynarze do tych potworów morskich, polując na nie zawzięcie. Od pewnego czasu istnieje zapotrzebowanie na skórę z rekinów, używaną do różnych wyrobów galanteryjnych. Jest ona szorstka dzięki drobniutkim ząbkom rozwiniętym w kształcie cierni lub szpilek.

Na rekinach upolowanych i wyciągniętych z morza zaobserwowano ciekawe zjawisko. Pokazało się, że bardzo często wraz z rekinem wyciągnięta została jakaś mniejsza ryba, silnie przyczepiona do ciała rekina. Niekiedy przy wyciąganiu z wody zabitego rekina, ryba przymocowana częścią głowy i grzbietu, opuszczała swego towarzysza i odpływała, nieraz jednak pozostawała przyczepiona i zaledwie z trudem można ją było oderwać od skóry żarłacza.

Cóż to za dziwna ryba żyjąca w takiej przyjaźni z najgroźniejszym tygrysem głębin morskich? To tarczogłów, zwany również podnawką lub trzymonawem, jedna z najbardziej ciekawych ryb morskich. Jak prawdziwy „pasażer na gapę" podróżuje z krwawym rabusiem po niezmierzonych wodach oceanu, przebywając bez trudu i zmęczenia setki i tysiące kilometrów.

Wiadomości o tej tajemniczej rybie posiadamy już ze średniowiecza. M. in. pisał o niej znany polihistor Konrad Gesner (1516—1565), kreśląc obraz dziwacznych polowań na dalekich morzach. Miała to być ryba zbliżona swym wyglądem do jakiegoś wielkiego węgorza o większej jednak głowie. Na grzbiecie miała posiadać coś w rodzaju kieszeni czy worka, którym mogła przyczepiać się silnie do ryb czy innych przedmiotów. Rybacy wieźli ją z sobą na łowy umocowaną na lince i umieszczoną w wodzie. Gdy rybak spostrzegł pożądaną zdobycz — jakąś większą rybę czy żółwia — popuszczał linki i polowanie rozpoczynało się. Ryba rzucała się na zdobycz, przyczepiając się silnie swą przyssawką, a rybak ściągając linkę wyciągał i zdobycz. Po zabiciu zdobyczy kawał mięsa dawał jako zasłużoną nagrodę dziwnej tajemniczej rybie.

Współcześni wierzyli święcie w opisy Gesnera. Później jednak zaczęto powątpiewać w prawdziwość jego relacyj, zwłaszcza gdy przekonano się, że zawierają one wiele fantazyj, jak np. opowieść o bajecznym jednorożcu. Uważano opowiadania o polowaniach z jakąś dziwną rybą za nieprawdziwe i zmyślone.

Liczne jednak sprawozdania żeglarzy z zamorskich podróży potwierdziły prawdziwość opowiadań Gesnera. Tajemnicza ryba istniała naprawdę, a polowania z jej pomocą nie były wcale baśniami.

Tarczogłowy, które opisywał Gesner i jego następcy, znane już były w starożytności. Znajdywano je, nieraz poprzyczepiane do boków statków czy łódek. Sądzono nawet, że są one zdolne do zatrzymania statku.

Obecnie znamy około 10 gatunków tej ciekawej ryby. Najbardziej znany jest tarczogłów remona (Echeneis remona) żyjący w Morzu Śródziemnem. Jest to niewielka ryba, o rozmiarach 20—25 cm. Jej krewniak (E. naucrates) żyjący w wodach tropikalnych, a zwłaszcza na obszarze Oceanu Indyjskiego, dochodzi prawie do długości 1 metra.

Wszystkie tarczogłowy posiadają płaską okrągławą płytkę ,znajdującą się na miejscu płetwy grzbietowej; ciągnie się ona niemal od paszczy poprzez głowę, zajmując i część grzbietu. Otoczona ona jest grubym mięsistym brzegiem, a w środku jej znajduje się do dwudziestu kilku ruchomych płytek chrząstkowych, zaopatrzonych drobniutkiemi ząbkami, służącemi do przyssania się. Przez przyciśnięcie tarczy tej do jakiejś powierzchni tworzy się próżnia, dzięki której następuje przyczepienie się.

Rzadko tylko przyczepiają się tarczogłowy do skał, natomiast bardzo często obserwować można przyssanie się tych ryb do boków statków. Stale przyczepione są do rekinów, z którymi odbywają dalekie podróże. Prawdopodobnie tarczogłowy nie są zbyt dobrymi pływakami i w ten sposób ułatwiają sobie przenoszenie się na znaczniejsze przestrzenie celem zdobywania pokarmu. W czasie trzymania się skóry rekina tarczogłowy mogą pobierać pożywienie, a najczęściej korzystają one z resztek uczt rekina. Gdy ze statku wyrzuca się odpadki kuchenne do wody, z boków statku odrywają się tarczogłowy i hurmem rzucają się na zdobycz. Gdy tej im braknie, napadają na mniejsze rybki, żywią się również i innemi drobnemi zwierzątkami morskiemi.

Do polowań na ryby używają tarczogłowów mieszkańcy wybrzeży Afryki i Madagaskaru. Rybacy zanzybarscy wyruszają z temi rybami na żółwie. Również mieszkańcy licznych wysp koralowych w cieśninie Torresa pomiędzy Australją a Nową Gwineą nieraz posługują się tarczogłowem do polowań.

Za najzręczniejszych jednak łowców ryb i żółwi uchodzą rybacy chińscy. Umieszczają oni pierścień dokoła ciała tej ryby bezpośrednio powyżej pletwy ogonowej (w innych okolicach przebijają płetwę i przez nią przeprowadzają linkę) i przymocowują go do długiej linki. Z kilkoma tarczogłowami tak zabezpieczonemi od ucieczki, które swemi przyssawkami są przyczepione do boków łodzi, wyruszają na polowanie ryb czy żółwi. Gdy zobaczą upragnioną zdobycz, spychają przy pomocy bambusa ryby z boku łódki i płyną w stronę żółwi. Tarczogłowy wkrótce przyczepiają się do skorupy żółwia i po chwili rybak ostrożnie ściąga linkę wraz z żółwiem, który nie ma możności uwolnienia się od niepożądanego gościa. Siła przyssania się jest tak wielka, że oderwanie wymaga znacznej siły.

Tajemnicze podróże tarczogłowów z tygrysami morskimi — to jedna z wielu zagadek życia w głębinach oceanów.

Dr Z. M.



Paszcza złowionego w pobliżu Sydney rekina-tygrysa daje pojęcie o rozmiarach tych prawdziwych potworów morskich.

KĄCIK FILATELISTYCZNY



Dwa nowe znaczki amerykańskie: od lewej znaczek okolicznościowy, wydany z okazji 150-lecia przyłączenia Stanów Północno-zachodnich do Unji U. S. A., oraz znaczek ze serji regularnej z podobizną prezydenta Johna Adams'a.

Zbieranie znaczków byłoby zapewnie nieco łatwiejsze, a może tylko segregowanie posiadanych okazów nastręczałoby mniej trudności, gdyby napisy i cyfry były zawsze wykonane literami łacińskiemi. Według pewnych konwencyj liczby muszą już być teraz przynajmniej arabskie, tak, że nie musimy się uciekać do pomocy tablic porównawczych, by odczytać wartość nominalną znaczka, japońskiego lub egipskiego.

Każda trudność ma jednak ten urok w sobie, że — może być pokonana — i niewątpliwie wielką jest zawsze radość dziecka-filatelisty — gdy uda mu się ustalić, gdzie ma nalepić tajemniczy egzemplarz.

A zresztą dzięki znaczkom uczymy się bezwiednie wielu ciekawych rzeczy i właśnie patrząd się na reprodukowaną Jugosławję możemy z łatwością zapoznać się z alfabetem tego kraju. Dziwne to zresztą, że w jednym kraju istnieje równouprawnienie dwóch alfabetów i jeśli na jednym znaczku czytamy litery łacińskie, to na drugim panuje niepodzielnie cyrylica. Sam język serbsko-chorwacki nie jest tak różny od polskiego abyśmy nie mogli odrazu przetłumaczyć całego zdania: „Na pamiątkę króla Aleksandra I Zjednoczyciela". Dalszy cel, na który przeznaczone są dopłaty ostatniej serji dobroczynne, jest już tajemniczy, jak i słowa — bolnicu u demir kapiji.

Format znaczków 39×28 mm, wzgl. 28×39 mm, barwy: 1 d. zielony, 2 d. — lila, 1,5 d. — czerwony, 3 d. — niebieski.



Serja znaczków jugosłowiańskich, wydana w lipcu na cele dobroczynne.

Najpiękniejszy jest bezwzględnie pierwszy znaczek serji, przedstawiający przełom rzeki Vardar, na południu Jugosławji. Czy jednak Dunaj nie wygląda tutaj zbyt skromnie? Postać na najwyższej wartości, to oczywiście zmarły tragicznie król.

Nowe katalogi oczekiwane są z wielką niecierpliwością — choćby dlatego, że... momentalnie cena za katalog „1938" spadnie do parytetu 1 złotego i będą go mogli nabyć zbieracze t. zw. II klasy, których słusznie można mianować tą mało pochlebną nazwą, gdyż nie idą z prądem czasu.

Ale niewiadomo — gdybyśmy faktycznie podzielili zbieraczy na tę pierwszą i drugą klasę, no i na trzecią, która wogóle nie posługuje się cennikami — kto miałby liczebną przewagę. U nas, gdzie panuje poprostu niechęć do zrzeszania się i jest napewno przy podziale filatelistów na stowarzyszonych i dzikich conajmniej 95% tych ostatnich.

W. H.

RADIO-ALAMEDA
WZYWA P.B.Y. NA PACYFIKU!

Anglosasi znani są z tego, że entuzjazmują się błahostkami, a zachowują opanowaną rezerwę wobec rzeczy wielkich, starając się pomniejszyć ich wagę. Anglik powie o wygranej wojnie, że... „jakoś wyłabudaliśmy się", Amerykanin, który przyjechał do Europy, mówi, że przepłynął „staw"... Atlantyk, a jadąc z Kalifornji na wschód, kiedy przejedzie olbrzymie góry Sierra Nevada, powiada, że przeskoczył „pagórek".



Powyżej: Upiór „żółtego niebezpieczeństwa".

Kiedy jednak Amerykanin stanie przed problemem Oceanu Spokojnego, nie nasuną mu się wcale jakieś „practical jokes", miłe błazeństwa dla zbagatelizowania sprawy, słowem z fal Pacyfiku za Golden Gate w San Francisko wyłania się zakuty w hełm stalowy upiór „Żółtego Niebezpieczeństwa".

Nie jest to termin nowy. Straszono nim już dzieci i starszych pod koniec XIX wieku, kiedy gwałtowny rozwój Japonji został dotkliwie stwierdzony klęską Rosji w 1905 roku. Niedawno zmarły filozof niemiecki Oswald Spengler, w swem dziele „Upadek Zachodu", przewiduje przyszłą hegemonję żółtej rasy. Przemysł japoński zadaje ciosy dotkliwsze dla rasy białej, niż pociski japońskich pancerników napełniane trotylem, „czimosą". Japońskie rowery, suwaki logarytmiczne, konfekcja, wyroby bawełniane, konserwy biją swą taniością wyroby innych krajów.

Dzieje się to dlatego, że japoński robotnik jest niezmiernie tani. Nic dziwnego to w kraju o kolosalnem przeludnieniu. Na 388.000 km² powierzchni Archipelagu przypada 70 miljonów mieszkańców.

Emigracja, która dotychczas pochłaniała nadmiar przyrostu ludności, została zahamowana przez zakazy imigracyjne Kanady, Stanów Zjednoczonych Ameryki Płn., Meksyku, Peru, Chile, Związku Południowo-Afrykańskiego, Australji, Nowej Zelandji, Indyj Holenderskich... Japonja dusi się na swych wyspach. Jej udział z wojny światowej, niemieckie posiadłości Pacyfiku, są niczem dla jej potrzeb. Klimat Mandżurji jest według Ziszki niemożliwy dla zaaklimatyzowania się Japończyków — przeludnione Chiny mogą być tylko terenem zbytu dla towarów. Japonja musi przełamać zakazy prohibicyjne.

Na prawo: Linje lotnicze na Pacyfiku.



Czy Japonja jest do tego zdolna? Jeżeli spojrzymy na nią nie jak na Krainę Kwitnącej Wiśni, nie z loży teatralnej, kiedy słuchamy „Madame Butterfly", ani po lekturze o bohaterskich samurajach, ale poprzez cyfry statystyk ekonomicznych i wiersze biuletynów prasowych o podboju Mandżurji i Chin, to nabierzemy szacunku dla jej możliwości. Japonja dogoniła w zdobyczach kultury materjalnej Europę i Amerykę. Żołnierz japoński w stalowym hełmie z karabinem Mauzera, marynarz w obrotowej wieży działowej ze stali chromoniklowej pancernika, lotnik w myśliwskim płatowcu, bez balastu kompleksów osobowości rasy białej, są najlepszymi wojownikami na kuli ziemskiej. Dzięki temu Japonja jest jednem z militarnych mocarstw świata: na morzu, na lądzie i w powietrzu.

Stara już doktryna morska powiada, że bitwy morskie wygrywa się już w czasie pokoju. Tonaż jednostek bojowych, ich uzbrojenie, decydują o tem zgóry i bezkrwawo: kto jest zwycięzcą. Od czasu jednak, kiedy konferencje rozbrojeniowe ograniczyły rozbudowę flot wojennych i ujęły je w ramy



Na lewo: Eskadra płatowców Curtiss B. D. 2 — C. nad oceanem.
Rysunki: Zygmunt Haupt — Lwów.

trudno zorjentować się, kto jest tym potencjalnym zwycięzcą. Konferencja waszyngtońska jest tylko pewnym schematem. Stosunek: Anglja, Stany Zjednoczone, Japonja 5:5:3 jest drewniany. Dreadnoughty buduje się ze stali i w stosunku szybkim czasie. Wchodzi w grę jeszcze nowy czynnik, dotychczas niewypróbowany — lotnictwo.

Wszystko to wpływa na to, że Stany Zjednoczone zaniepokojone są o swój stan posiadania na Pacyfiku. Antagonizm amerykańsko-japoński nie jest świeżej daty i ostatnio megalomanja Amerykanów nie zaślepia ich na tyle, żeby nie widzieć niebezpieczeństwa. Ostatecznie w sztabie generalnym Waszyngtonu siedzą trzeźwi ludzie.

Przedewszystkiem zwrócono uwagę na lotnictwo. W tej chwili siły powietrzne marynarki amerykańskiej (przeznaczonej wybitnie do operacji na Pacyfiku) wynoszą 1000 płatowców i wodnopłatowców linjowych, nie licząc kilkuset aparatów ćwiczebnych i przeznaczonych do innych celów. Są to płatowce typu Curtiss B. D. 2-C i wodnopłatowce Consolidated P. B. Y. , tysiąckonne, pierwsze specjalnie przeznaczone do bombardowania okrętów „en pique". Ich bazami są lotniskowce, przystosowane do startu płatowców z pokładu i statki-tendry dla hydroplanów. Lotniskowce, jak „Lexington" i „Saratoga" są właściwie przerobionymi pancernikami o wyporności 33000 tonn, których budowę rozpoczęto jeszcze przed ograniczeniami konferencji waszyngtońskiej. Japonja ma dwa lotniskowce typu „Agashi" o zwyż 40000 tonn, tej samej zresztą genezy. Do „mniejszych" lotniskowców amerykańskich należą „Ranger", „Yorktown", „Entreprize", „Wasp", tendry „Wright" i „Langley".

Wczesną wiosną tego roku odbyły się na Pacyfiku olbrzymie manewry połączonych flot Atlantyku i Oceanu Spokojnego. Były to pierwsze manewry robione bez typowej reklamy prasy amerykańskiej, tak zakonspirowane, że nic poza ogólnemi wzmiankami nie przedostało się do dzienników. Świadczy to o powadze sytuacji.

Kto chce być panem Pacyfiku, musi opanować przestrzeń. Zastanówmy się nad bezmiarami tego oceanu. Odległość od Kalifornji do wysp Hawajskich wynosi 4000 km. Przebywa ją 18 płatowców P. B. Y. z 120 ludźmi załogi w dwadzieścia godzin. Inna grupa 15 samolotów startuje z Pearl Harbour, bazy na Hawai i woduje w Guam w odległości 6000 km na Zachód. Stąd już tylko 3000 km do Tokio. Notabene wyspa Guam artykułem 19 Traktatu Wersalskiego była uznana za strefę zdemilitaryzowaną, co nie było przeszkodą, żeby został ostatnio zajętą przez 6 wojskowych płatowców Consolidated. Na przestrzeni między Hawai i Japonją, Stany posiadają jeszcze dwie bazy pośrednie. To bezludne i pozbawione wody wyspy Wake i Midway. Cyfra w budżecie zbrojeń na rok 1938/39 2 miljonów dolarów pozwoliła przekształcić je w doskonale wyposażone porty lotnicze. W czasie pokoju są one stacjami pośredniemi zaopatrzenia dla samolotów pasażerskich stałej komunikacji „Panamerican Airways", obsługiwanej przez samoloty typu „Samoa Clipper" Sikorskiego. Łączą one kontynent amerykański przez Hawai, Guam z Manilą na Filipinach, a stąd z Hong-Kongiem. Drugie odgałęzienie pasażerskich linij prowadzi przez Pago Pago do Aukland w Australji.

Wielkie te linje pasażerskie łącznie z brytyjskiemi „Imperial Airways" mają swą siecią pomniejszyć przestrzenie Oceanu, oswoić z możliwościami przelotów, przygotować do wojny. Wygoda, regularność komunikacji zachęcają do posługiwania się niemi. Przelot z Kalifornji do Manili z noclegami w luksusowych hotelach na Wyspach Hawajskich i Wake, kosztuje tylko kilkaset dolarów.

Sztab generalny Stanów Zjednoczonych przygotował cały szereg baz i punktów ważnych dla sił powietrznych na drogę na zachód wzdłuż kontynentu amerykańskiego i azjatyckiego. Są one pod bezpośrednią kontrolą sztabu, jak Wyspy Hawajskie, Panama, San Diego w Kalifornji. Więc będą to Seattle, Sitka i Kodiak na Alasce, wyspa Rato archipelagu Aleuckiego oraz Dutch Harbour i Petro Kurylskiego.

Wyspy Hawajskie pozostaną jednak podstawą. Stąd w błyskawicznych wypadach flota morska i powietrzna, jak stalowa pięść boksera będzie zasłaniać Kontynent. Wyspy Oahu, Maoui, Hilo, cudowne perły rzucone wśród lazuru oceanu, szarpać będą wybuchy i zasłoni je chmura dymów bojowych. Stacje iskrowe w Alameda, Pearl Harbour Wake, Midway będą szukać w przestworzach zaginionych samolotów. Tłuste plamy smarów i wir skłębiony zaznaczy ostatni raz miejsca, gdzie zapadnie storpedowany linjowiec. Pasy i gwiazdy flagi Stanów i Wschodzące Słońce Japonji jednakowo odbijać się będą w falach Pacyfiku.

Wielki i Spokojny, spieniony w podmuchach passatów Ocean pozostanie na zawsze niepodbity.

Zygmunt Haupt.

»BESTJA«

W. BIAŁOWIEJSKA — **N O W E L A**

Dzielnica willowa — pełno zieleni — małe domki podobne do siebie, otoczone minjaturowemi ogródkami, a wśród nich jeden ogrodzony nie kratą, ale murem dość wysokim, na który spadają festony dzikiego wina, nadając mu jakieś piętno odosobnienia i odsunięcia się od reszty świata. W murze masywna żelazna furtka, a na niej napis: „Proszę nie wchodzić bez dzwonienia — złe psy".

„Złe psy"! Ile razy, wracając do domu, pan Czesław czytał ten napis, uśmiechał się mimowoli. Jakżeby się na to oburzył jego chłopak, który właśnie wszystkie drzwi, serce, całego siebie otwierał gościnnie, aż za gościnnie może. Ale Janek już oddawna na wojskowym cmentarzu, a żona tak bardzo boi się włóczęgów i złodziei.

On sam nie lubił tych bestyj na łańcuchu, tych złych psów, przed któremi trzeba ostrzegać przechodniów, tak, jak nie lubił wszystkiego, co dzikie i brutalne.

Pan Czesław może najbardziej szczycił się tem, że umiał opanować w sobie wszystkie odruchy sympatji czy antypatji i przeciwstawić zupełną obojętność życiowym drobiazgom, czy nawet nie drobiazgom.

On, wytworny literat i esteta, o głębokiem, smutnem spojrzeniu siwych łagodnych oczu, uważał, że właśnie ta wytworność, ten filozoficzny estetyzm, to był największy skarb, jaki mu życie dało; dzięki niemu czuł się wyższy od przeciętnego szarego tłumu i to była jego duma, którą nosił wysoko, choć niewidocznie nad czołem, niby średniowieczny rycerz pęk pawich piór na szyszaku.

Z tym swoim lekkim opanowanym uśmiechem otworzył kluczem wyjętym z kieszeni drzwi furtki.

— Pani jest? — zapytał ogrodnika, który przystrzygał trawnik.

— Nie — wyszła do miasta.

— Mówiła, kiedy wróci?

— Trochę po czwartej.

— Dobrze.

Skinął głową i szedł do domu, wąską ścieżką, obramowaną sztywnemi liśćmi irysów. Już kwitły. Przechodząc, delikatnie muskał je białemi palcami. Lubił te kwiaty — były ciche, skupione, nie krzyczące swemi barwami. Lubił tak samo, jak lubił swój również stonowany gabinet, w którym tak dobrze mu się pracowało samemu.

Samemu!

Do samotności przywykł, zresztą nigdy właściwie nie żył z innymi. Serdecznych przyjaciół nie miał, a od żony odsunął go zupełnie grób syna.

Syn!

Tak, to była jedyna istota, którą tak bardzo, tak okrutnie bardzo kochał, aż miłość ta przerzuciła most ponad przepaścią, jaką oddzieleni są jedni ludzie od drugich. Nie należy zresztą tak bardzo kochać nikogo, zbyt się potem cierpi.

Ale i cierpieć powinno się umieć. Cierpienie powinno się mieć w sobie jak ostro szlifowany, ale grający wszystkiemi barwami brylant, cierpienie trzeba kształtować, a nie pozwolić, aby ono nas kształtowało. I on to potrafił. Ale tego nigdy nie chciała zrozumieć żona.

— Tyś nie kochał Janka — mówiła mu i tak, jak od złodziei odgrodziła się ową furtką z ostrzegawczym napisem, tak od męża odgrodziła się murem przyjaciółek i społecznych prac — to jej wypełniło pustkę życia.

Nie dziwił się (nie należy się dziwić niczemu) i nie miał do niej żalu. Owszem, tak może było nawet lepiej, nie mąciła mu sobą życia, tak, jak nic nie mąciło ciszy gabinetu (w mieszkaniu nie było głośnika radjowego, temu już oparł się stanowczo).

— Nic nowego Antoni? — zapytał z przyzwyczajenia służącego pewny zgóry odpowiedzi twierdzącej.

— Był jakiś (chwila wahania) pan...

— Nie zostawił biletu?

— Nie.

— A Antoni go nie zna?

— Nie, to nie z takich panów, którzy u nas bywają.

— Nic nie powiedział?

— Powiedział, że przyjdzie później.

— To dobrze.

Wszedł do gabinetu, krzywiąc się lekko. Któżby to mógł być? Sądząc ze słów Antoniego pewnie ktoś o protekcję, czy wprost o zapomogę. A on tak tego nie lubił. Ha, trudno.

Nie omyliłem się — pomyślał pan Czesław, skoro tylko obrzucił pierwszem spojrzeniem, wchodzącego do gabinetu interesanta.

Zniszczone ubranie, wielkie niespokojne oczy, rzucające naokoło badawcze spojrzenie, twarz zmięta, zmęczona, usta zaciskające się grymasem pełnym goryczy, tak ten nie zwyciężył życia — przychodzi prosić o rzucenie ostatniej liny ratunkowej; chociaż nie — jakie twarde usta — tacy nie proszą, oni żądają.

— „Klonowski" — przedstawił się przybyły — ale nazwisko nic panu nie powie. Służyłem w wojsku razem z pana synem.

— Z Jankiem?

— Tak, razem z nim i razem z Kazimierzem Woydyłłą.

— To był serdeczny przyjaciel mego syna.

— Tak i ja właśnie w tej sprawie przychodzę.

— Nie rozumiem.

— Zaraz pan zrozumie. Ja z panem Woydyłłą mam też swoje dawne małe porachunki. Obecnie mówią o nim jako o kandydacie na ministra.

— Wiem — zrobił świetną karjerę.



Fabryka w Warszawie

— A właśnie, no i ma się żenić. Otóż udało mi się zdobyć dowód, że tam w przeszłości nie było wszystko w porządku. Niby nic, ot taki sobie błąd młodości, jakiś weksel podpisany w cudzem imieniu, ale opublikowanie tego wystarczy, aby był koniec — koniec i z małżeństwem i z teką ministra i z tą świetną karjorą. Wojsko takich plam nie znosi! Koniec.

Na blade policzki wystąpiły mu płomieniste rumieńce, głos świszczał.

Pan Czesław patrzył na niego ciekawie — nic nie rozumiał, ale przybysz poczynał go interesować.

— Co pan Woydyłło zrobił panu?

— Co zrobił — to zrobił. Ot pchnął człowieka, któremu się powinęła noga, niech ginie, kiedy nie umiał sam utrzymać równowagi i zatoczył się, bo, powiedzmy, był pijany. Trzeba w życiu być ekwilibrystą i kiedy się człowiek potknie, udać, że się z własnej woli pochylił. Ale i on się nie podniesie.

Zaśmiał się chrapliwie.

— Nie rozumiem wciąż, dlaczego pan przyszedł z tem do mnie.

— Przecież, aby to wzięto, aby z tego uczynić broń, trzeba poparcia, trzeba nawet pieniędzy, a ja pieniędzy nietylko nie mam, ale ich sam potrzebuję. Córeczka moja — uśmiechnął się jakoś inaczej, niż do tychczas, bardziej miękko — choruje, leczyć ją trzeba. Więc pomyślałem sobie, że pan to kupi z ochotą.

— Dlaczego. Jestem literatem, ale nie piszę sensacyjnych powieści, nie potrzebuję do swoich utworów skandalicznego materjału.

— Przecież, jeżeli ja nienawidzę Woydyłły, to chyba pan jeszcze bardziej.

— Ja z panem Woydyłłą znam się przelotnie, owszem spotykamy się w towarzystwie, ale ja tak mało, tak bardzo mało stykam się wogóle z ludźmi.

Przybysz machnął ręką.

— Tu nie chodzi przecież o pana, ale o Janka.

— Wybaczy pan, ale tu zachodzi pewne nieporozumienie; mój syn nie żyje.

— Właśnie.

— Poległ w wojnie bolszewickiej, ale pan musi o tem wiedzieć.

Na twarzy gościa dopiero teraz odbiło się bezgraniczne zdumienie.

— Przecież Janek nie poległ, Janek się zabił i to właśnie przez Woydyłłę.

Jezus Marja! Ziemia zatrzęsła się w posadach, zawaliła się i runęła w gruzy wieża z kości słoniowej, w której ukryty przebywał tak długo.

— Co takiego?!!!

Pan Czesław pochylił się naprzód, wpijając ręce w poręcze fotela, na którym siedział, twarz mu się zmieniła, przybierając taki wyraz, że aż gość, aczkolwiek nic należący do istot sentymentalnych, zmieszał się.

— Nie przypuszczałem, że pan nie wie o tem, coprawda daliśmy sobie wtedy słowo, że nie będziemy rozpowiadać, a zresztą w okresie wojny takie epizody zacierają się, ale myślałem, że jednak... Psiakrew to ta solidarność wojskowa.

Dokończenie na str. 12-tej.



OSTATNIE CHWILE NA WAKACJACH

Fot. Edward Hartwig — Lublin.

Dokończenie ze str. 10-tej.

— Panie, niech się pan nie tłumaczy, na miłość Boską, jeśli pan już przyszedł, niech pan mówi wszystko, jak było naprawdę?

Klonowski milczał.

Panie Klonowski — tak zdaje się, pan wspominał, że masz córkę, na głowę tego dziecka zaklinam, powinien mnie pan zrozumieć — ja też miałem tylko jednego syna. Naprawdę, żałuję, że przyszedłem.

Pan Czesław poczuł, że mu przed oczyma zaczynają latać czerwone płatki.

— Człowieku mów, bo nie ręczę za siebie, bo ci słowa wydrę z gardła. Janek się zabił?

— No tak!

— I to z powodu Woydyłły, nie rozumiem!

— Ot takie zwykłe historje, codzienne, kto inny by na to zareagował inaczej, ale pan przecież wie, Janek był przewrażliwiony, zapalony. Poznał dziewczynę, ot zwykłą — ładna była wyjątkowo — ale nic więcej, a Janek widział w niej cud, uosobienie dziewczyny wymarzonej i klękał przed nią w podziwie i podzięce, gotów jej stopy całować. Woydyłło zawsze lubił brać to, co nie jego i w tych sprawach skrupułów nie miał, a dziewczyna, jak mówiłem, była wyjątkowo ładna i podobała mu się istotnie. Może gdyby się naprawdę zakochał, Janek by przebolał, ale to, co dla Janka było świętością tamten zerwał, jak piękny kwiat, znaleziony przy drodze, zerwał i rzucił zmięty, gdy go przestał bawić. — Pan wybaczy ten język, ja kiedyś pisałem wiersze. To i wszystko.

— A Janek?

— Janek? Janek powiedział Woydylle. — „Jaki ty podły", a potem poprosił o wysłanie z patrolem. Patrol spotkał niewielki oddział nieprzyjacielski, starł się z nim, zmusił do ucieczki i wrócił do obozu. Brakowało tylko Janka, pogonił za uciekającymi i nie wrócił. Znaleźli go żołnierze dopiero nazajutrz — miał przestrzeloną głowę — kulą z własnego rewolweru. Raport oficjalny brzmiał: poległ, ale przecież wszyscy wiedzieli.

Pan Czesław podniósł opuszczoną na piersi głowę.

— Pan przypuszczał, że ja o tem wszystkiem wiedziałem?

— No tak!

— I pan myślał, że przez te lata przyczaiłem się i czekam odpowiedniej chwili, aby się zemścić?

— No tak, bo przecież...

— Czekaj pan, chwileczkę, niech pan zrozumie, że dostałem, jakby obuchem w głowę. Muszę się opanować, nie mogę zebrać myśli.

Zapanowało milczenie. Gość czuł się, coraz bardziej niepewnie. Gdyby przewidział to wszystko, może nie wdawałby się w całą tę awanturę, chociaż, chociaż jego Basi ten wyjazd byłby tak potrzebny, a skrupuły... o jakże to już dawno zostawił ten niepotrzebny bagaż na jakiejś węzłowej stacji swojej drogi życiowej. Ale czemu ten wytworny pan tak długo milczy. — Dopiero teraz spostrzegł, że oczy ma zupełnie podobne do oczu Janka i zrobiło mu się bardzo nieprzyjemnie. Nakoniec ciszę przerwał już opanowany głos, może tylko jakby trochę zachrypnięty.

„Przyjdź pan jutro o 12-tej z tym listem. Nic nie obiecuję, muszę się namyślić, ale pieniądze będą przygotowane. Ile? No niech pan wymieni sumę, nie będę się targował. No! Czekam!

— Ty... tysiąc!

— Dobrze. Więc jutro o 12-tej.

— — — — — — — —

Tego dnia jeszcze długo po północy świeciło się w jednem z okien zacisznej willi, którą teraz obiegały dookoła złe psy, spuszczone na noc z łańcucha.

W swoim gabinecie pan Czesław pogrążony w fotelu wpatrywał się w fotografję syna i inne po nim pamiątki, wyrzucił je z bocznej szuflady biurka, w której spoczywały od lat dziesięciu. Niewiele tego było, jakieś krótkie listy, pisane do domu z frontu, jakiś urywek pamiętnika, notatnik, mapa, legitymacja oficerska, jakieś rysunki widać pospiesznie, nerwową ręką rzucane na papier, papierośnica — ot i wszystko. A prawda, jeszcze oficjalne zawiadomienie, że porucznik Jan Nowicki poległ podczas odbywania patrolu i pochowany został narazie na miejscowym cmentarzu, skąd ciało może być sprowadzone do stolicy.

Długie godziny już przerzucał pan Czesław te papiery. A może Klonowski kłamał. Chwycił się tej myśli, jak nikłej słomki, która go jednak uratować mogła. Tak, to napewno kłamstwo. Ale nie. Oto z kartek szkicownika wyjrzała jakaś główka kobieca, rzeczywiście prześliczna — oto splatane linje kreślone ołówkiem układają się w imię kobiece.

A te fragmenty listów. — „Chciałbym ci teraz ojcze coś powiedzieć, coś bardzo, bardzo ważnego, ale muszę poczekać, pisać mi o tem trudno — może to zmieni całe moje życie. W każdym razie Ty dowiesz się o tem pierwszy, nawet przed mamą".

A w kilka dni później. „Kwaterujemy już od kilku tygodni, niewiadomo, kiedy znów wyślą nas na front — narazie spokój. Wczesna jesień, ale mnie się zdaje, że w powietrzu najcudniejsza wiosna. Ojcze, jaki ja jestem szczęśliwy, jaki szczęśliwy.

I nakoniec na kartkach notesu, między notatkami ściśle służbowemi ten napis „A jednak jacy ludzie są podli, jacy podli".

Pan Czesław odsunął papiery — wszystko się wiąże, wszystko się zgadza, ale czy wtedy, gdy dusza łamie się pod ciosem tak niespodziewanym, ale tak naturalnym — kiedy żołnierz ma zginąć, jak nie na wojnie — można się bawić w detektywa. Tak, wszystko już teraz zupełnie jasne.

Schował znów wszystko do szuflady, zamknął ją starannie i podszedłszy do okna, wpatrzył się w ciemność. Ale w tej ciemności widział wciąż tę twarz ukochaną, tak dobrze znaną. Wychylała się ku niemu — tylko, że to już nie była ta młodzieńcza twarz, którą przed chwilą widział na fotografji, ani ta, która wyjrzała ku niemu z okna wagonu, gdy odprowadzał syna, wracającego z ostatniego urlopu. Nie, to była twarz, której właściwie nie widział nigdy, ta twarz jaką Janek musiał mieć wtedy, kiedy podnosił ku skroni rewolwer. Widział ją ciągle — miał ją przed sobą — ona była tam w głębi ogrodu i w nim, w jego duszy. Czuł na sobie pełne rozpaczy, błagające o ratunek spojrzenie oczu, które zawsze tak ufnie umiały patrzeć na ludzi. „Mój mały, mój biedny pokrzywdzony mały" — szeptał pan Czesław, nie czując nawet, że płacze.

— — — — — — — — — —

Kiedy Klonowski z czekiem na tysiąc złotych w kieszeni opuszczał nazajutrz gabinet pana Czesława, zatrzymał się nagle w drzwiach.

— Przepraszam, ale chciałbym coś powiedzieć.

— Słucham.

— Ten list... to jest raczej ten dowód...

— Przeciw panu Woydylle?

— Tak.

— Nie jest zupełnie zgodny z prawdą... Co?

— Skąd się pan tego domyślił?

— Z pańskiej miny — przy załatwianiu tranzakcji. Ale mnie to nie obchodzi. Do zrobienia huku i skandalu wystarczy?

— Wystarczy.

— No, więc wszystko w porządku. Ale teraz ja zapytam. Dlaczego pan nie chciał mnie okłamywać?

— No, bo pan jest przecież ojcem Janka.

— Pan Czesław spojrzał głęboko w oczy gościa i podał mu rękę.

— Rozumiem i dziękuję.

Drzwi się zamknęły, pan Czesław pozostał sam. Nie zagłębił się jednak w fotelu, przeciwnie począł przemierzać gorączkowo gabinet.

Nie było teraz czasu na marzenia, ani na rozmyślania o przeszłości, trzeba było przygotować wszystko do walki, jaką miał stoczyć, utkać niby przyczajony pająk sieć, w którą zaplącze się Woydyłło i zginie. Pan Czesław zanadto dobrze znał ludzi, aby mieć choć na chwilę wątpliwości, że nawet fałszywy dowód wystarczy do złamania karjery przyszłego ministra, ale należało działać umiejętnie i stanowczo.

— Rzeczywiście taki Klonowski niczby tu nic zrobił, pomyślał pan Czesław — ale ja temu podołam. — Nie podniesie się więcej. Zginie. Zacisnął dłonie, nożyk z kości słoniowej, którym się bawił, prysnął.

— Poczekaj, panie Woydyłło — to nie z dzieciakiem idealistą sprawa — zacznijmy teraz grę, my we dwóch i zobaczymy.

Twarz mu dziwnie stężała, wargi się zacisnęły.

Rzucił do kosza połamane kawałki, podszedł do biurka — nie należy tracić czasu.

Sięgał po słuchawkę telefoniczną, gdy nagle z za okna dobiegło go zajadłe szczekanie, jakiś krzyk, płacz pełen przerażenia.

W cichej willi były to odgłosy tak niezwykłe, że pan Czesław zaniepokojony wychylił się przez okno.

Odrazu zorjentował się w sytuacji. Kastor jeden z brytanów zerwał się z łańcucha i gonił teraz małego synka ogrodnika, tratując przytem rabaty kwiatowe. Malec przestraszony uciekał, krzycząc i płacząc, ale pies przyparł go do muru. Z drugiej strony jednak nadbiegał już Antoni. Kiedy pan Czesław wyszedł na taras Antoni, przywiązywał psa, a malec chlipiąc jeszcze, stał opodal, porządkując ubranie.

— Co się to stało?

— Nic, proszę pana — mały nieostrożnie otworzył furtkę, a może umyślnie podrażnił psa, a że łańcuch był w jednem miejscu naderwany, więc pies go zerwał i dalej szaleć. A no moja wina, nie obejrzałem wczoraj dobrze łańcucha, a z taką bestją trzeba być ostrożnym — na swoich się rzuca. Czekaj, dostaniesz nowy łańcuch — a ty mały nie becz, nic ci się nie stało.

Wziął dziecko za rękę i skierował się do domu, pies warcząc jeszcze, układał się w budzie, spokój powrócił.

Pan Czesław stał długo na tarasie, patrząc na kilka irysów, które połamane leżały na ziemi, świadcząc o odbytej niedawno gonitwie.

— A no tak — mruknął wreszcie i powoli wrócił do gabinetu.

— — — — — — — — — —

— Pamiętasz Woydyłłę, tego kolegę naszego Janka — zwróciła się w kilka tygodni potem pani Czesławowa do męża — siedzieli przy śniadaniu — został mianowany ministrem — słyszałeś?

Pan Czesław przerzucał gazetę.

— Słyszałem — i to mi właśnie przypomina, że nie powiedziałem ci, iż dla Kastora kupiłem nowy łańcuch — stary był już przetarty.

— To ci przypomina — spojrzała na męża prawie z przerażeniem. — No wiesz — ty coraz bardziej stajesz się dziwaczny — nie mogę cię zrozumieć.

— Możliwe — zgodził się spokojnie pan Czesław, uśmiechając się lekko.

„Halama" pod Giewontem



„Halama" należy do najpiękniejszych will Zakopanego.
Zdjęcia: Schabenbeck — Zakopane.



Stylowa jadalnia z modrzewiowym stropem.



Wytwornie urządzony salon.

Po kilku dniach szarugi słońce znów wyjrzało zza chmur, które gnane wschodnim wiatrem pierzchały hen aż za Orawę, odsłaniając ociekający jeszcze deszczem szczerbaty Giewont, a za nim Czerwone Wierchy. Na stolicę Podhala spłynął z pierwszemi promieniami uśmiech radości... Między willami, które jeszcze przed chwilą stały nieme i jakby drzemały z zamkniętemi szczelnie oknami, zakotłowało, jak w mrowisku. Ulicami popłynęła fala spragnionych pogody letników...

— *I pan w Zakopanem?* — ktoś zagadnął mnie w przejściu przez Krupówki. Wyniosła, gibka postać, opalona o ostrych rysach twarz i rząd przepysznych zębów, ukazujących się w uśmiechu — wszystko to w szybkim refleksie pierwszego wrażenia. To Feliks Parnell.

— *A pan co tu robi? Już skończyliści tournee?* — krzyżują się pytania, padają odpowiedzi, z których dowiaduję się, że słynny tancerz wraz ze swą znakomitą partnerką i żoną w jednej osobie, Zizi Halamą i małą córeczką Magdusią bawi tu na wywczasach, odpoczywając po trudach pracowitego sezonu.

— *Siedzimy już na „własnych śmieciach"... może pan nas odwiedzi... koniecznie dziś wieczorem. Otwieramy „budę"!* — odezwał się Parnell przy pożegnaniu. Nic więcej nie chciał powiedzieć i ledwo zdążyłem się dowiedzieć, że to otwarcie „budy" odbędzie się przy końcu ul. Piłsudskiego, już go nie było. Umknął w wyścigowem tempie, unosząc stos paczek ze sobą.

Wieczorem tego dnia wybrałem się na poszukiwanie owej tajemniczej „budy". Myślałem sobie: Ot, jakiś skromny domek z drzewa, może w najlepszym razie na podmurówce i może w prawdziwym zakopiańskim stylu. Dlatego też nachodziłem się co niemiara, zanim duży napis na frontonie wspaniałej, piętrowej willi nie przekonał mnie, jak bardzo „skrzywdziłem" znakomitą parę. To, co zobaczyłem, musiało przejść najśmielsze moje oczekiwania. Bo czyż mogłem spodziewać się po naszych artystach takiej wyjątkowej niespodzianki? Artyści — to ludzie, którzy najczęściej mało mają wspólnego z tem wszystkiem, co cechuje bussinesmannów. Każdy wyjątek od tej reguły musi, szczególnie u nas, budzić prawdziwą sensację. Nic więc dziwnego, że Parnellowie, otwierając swój pensjonat pod nazwą „Halama", odrazu zdobyli powodzenie w nowej swej roli, choć bardziej życiowej, a mniej artystycznej.

Nie kończący się sznurek ciekawskich, którzy pod pretekstem wynajęcia w zimie pokoi (bo teraz nie było ani jednego wolnego) zwiedzali willę od suteryn aż po strych, zwabiła tam sława imienia właścicieli i chęć przekonania się „na własne oczy", jak też urządzili się ci Parnellowie. A było i jest co oglądać. Obszerna i foremna willa

Dokończenie na str. 14-tej.



Feliks Parnell z żoną Zizi Halamą i córeczką Magdusią — na wywczasach w Zakopanem. (Zdjęcie z tarasu willi „Halama").



Kornel Makuszyński wpisuje podczas otwarcia „Halamy" swój epigram do księgi pamiątkowej willi Parnellów.



Marjan Rentgen wykonuje jedną ze swych świetnych piosenek na otwarciu „Halamy" (pierwsi od lewej: Zizi Halama i Feliks Parnell)

(Dokończenie ze str. 13-tej)

sprawia z zewnątrz wyjątkowo estetyczne wrażenie. Wnętrza, gustownie urządzone, wypełnia cała masa pamiątek z podróży artystycznych właścicieli. Komfort, rzadko w naszych uzdrowiskach spotykany, przyczyni się również do trwałego powodzenia „Halamy", którą jak narazie prowadzi samodzielnie sama właścicielka. Już dla tego samego, by zobaczyć przy tej pracy „Roztańczoną Babę", warto zamieszkać pod gościnnym dachem Parnellów.

Stawiając sobie willę w Zakopanem, związali się Parnellowie niepodzielnie z stolicą Podhala. Stali się jej znakomitymi obywatelami, a przyjęci zostali z otwartemi ramionami, czego wymownym dowodem jest piękny i dowcipny epigram, wpisany w dniu otwarcia „Halamy" do księgi pamiątkowej willi przez „bacę Kornela Pierwszego, gazdę na Cyrhli". Brzmi on dosłownie:

My, z łaski ludu baca, Kornel Pierwszy,
Gazda na Cyrhli, lata pan i zimy,
Układacz książek, romansów i wierszy,
Wiadomem dzisiaj czynimy:

Że zasięgnąwszy wszędzie światłej rady
U Gąsieniców, Krzeptowskich, Karpielów,
Radzi do naszej przyjmujem gromady
Wielce Nam miłych małżonków Parnellów.

I zezwalamy, by ci małżonkowie
W pełni góralskiej zażyli swobody
I używali bezpłatnie w połowie:
Ziemi — powietrza i słońca i wody.

Ktokolwiek by im bronił tego prawa
I pakość czynił haniebnie i podle
Ten, jako górska każe to ustawa:
Obwieszon będzie na wysokiej jodle.

I zezwalamy, by on Parnell godnie
Zawsze używał zbójnickiego znaku,
By miał ciupagę i czerwone spodnie
I by w zbójnickim nosił się kołpaku.

Niech mu też będzie dany ten przywilej,
Z którego mocy może zawsze śmiele,
Aby mu żywot przebieżał tem milej
Upić się w każde święto i niedzielę.

Chałupa jego ma być w bezpieczności,
Dziecię najmilsze niech się w zdrowiu chowa,
I niech nikt krzywdy nie czyni Jejmości
Bo to też człowiek, choć tylko teściowa.

Te przywileje w dostojnej osnowie
Dajemy jemu i jego kobiecie,
Za to, że wielcy są to artystowie,
Co świetną sławę zbierają po świecie.

Zaprzysięgamy to nasze orędzie,
Które poświadczą wszyscy górscy święci,
A że tak wszystko ma być i tak będzie,
Pieczętujemy sercem miast pieczęci.

Kornel Makuszyński.

Zakopane 1938 w „Halamie".

U ŹRÓDEŁ WIELKIEJ RZEKI



Wodospady Białej Wisełki.

Zdaje się, że była to jakaś rocznica. O drugiej nad ranem byliśmy sztywni, jak zazwyczaj ludzie, obchodzący takie święto. Uroczystość przeciągała się. Nie wiem, jakim cudem znaleźliśmy się wreszcie w pociągu. Konduktor badający nasze bilety powiedział nam, że jedziemy do Kórnika. Ta nazwa wywarła na nas jak najgorsze wrażenie. Byliśmy zakłopotani jak ludzie, którzy trzymają w ustach coś, co miało jak najlepszy wygląd, a w smaku okazało się, przerażające. Pociąg stukotał.

Ponieważ nikt nie chciał się przyznać, że nie wie, po co jedzie do Kórnika — po przybyciu na miejsce, zamiast poczekać na pociąg powrotny, wsiedliśmy do autobusu i pojechaliśmy do miasteczka. W zajeździe, przy szosie poznańskiej wynajęliśmy pokoje.

Nazajutrz wyspani i wyświeżeni wczesnym rankiem wybraliśmy się na spacer.

Cztery godziny spędzone w ostępach leśnych, wśród niecywilizowanej roślinności, zwierza przemykającego zdala, dziwnych wkoło krzątających się gorączkowo owadów i świeżej, dyszącej namiętnymi zapachami zieleni — nastroiły nas dla przyrody sentymentalnie. Tajemniczy spokój samotnego lasu, pełen szelestów i wibrującego gdzieś w ukryciu życia spowodował w nas uczucia tęsknoty.

Eskapada kórnicka wytworzyła tło, na którem zarysował się wkrótce konkretny projekt wyjazdu w dalszą podróż do celu, bez nazwy. Plan nasz określał wyjazd do miejscowości takiej, gdzie niema pensjonatów, sklepów i innych męczących objawów cywilizacji.

Wśród dziwnych okoliczności, którym sprzyjała rozszalała młodość — wyjechaliśmy do Krakowa, gdzie mieliśmy się zorjentować dokładnie w terenie i ostatecznie wybrać okolicę w pasmie Tatr czy Beskidów, gdzie odnaleźćby można wymarzoną, bezludną okolicę.

W Krakowie udaliśmy się do Orbisu i zaczęli studjować mapę Polski. Wodziliśmy palcami po bronzowych plamach gór, gdy naraz Marjan wykrzyknął:

— Wisła... Czy wiecie, że istnieje Wisła?...

Zdumieliśmy się. Kołtuństwo pytania wydało się nam bezgraniczne. Wycedziłem:

— Wisła, powiadasz... Nic o niej nie słyszałem...

— Tak, Wisła. Jakaś malutka wioska... U źródeł Wisły! To jest szalenie romantyczne. Pojedziemy chyba do źródeł wielkiej rzeki.

* * *

Pociąg wlecze się i zatrzymuje. Z namysłem rusza dalej. Rzadko widzi się dziś takie pociągi.

Zbliża się wieczór. Gorący, właściwie parny, wymęczony całym dniem, spocony i zakurzony.

Hm... Naraz dzieje się coś bardzo niestosownego i może nawet zabawnego: wchodzi konduktor z płonącym ogarkiem i zapala w naszym przedziale latarkę naftową, wiszącą na ścianie. Dopiero teraz widzimy, że sufit jest prawie czarny od kopciu. Niby to jesteśmy zmęczeni, ale latarka przywraca humory.

Majaczące przed nami na widnokręgu góry, które ukrywają odnalezioną na mapie miejscowość o egzotycznej nazwie, niezwykły pociąg i ta latarka podniecają nas. Przez głowę

przelatują wspomnienia: Wojna, ślepe wagony bez świateł, walka o miejsca, tłumy na peronach. Ktoś krzyczy w ciżbie: nogi mu ucięło!... Harmider.

Zastanawiamy się, czy parowóz nasz ma tłoki uszczelnione sznurami ze słomy, jak to bywało podczas wojny. Ale nie! Umundurowany jegomość jadący z nami w przedziale jest prawie obrażony z powodu tych przypuszczeń. Nie pamiętam dziś, czy to był celnik, czy policjant. Zdaje się, że policjant. Ale bardzo sympatyczny. Najpierw trochę się złościł, ale potem rozgadał się i śmiał razem z nami, a dowiedziawszy się, że przybywamy zdaleka, uznał za stosowne ofiarować nam swą opiekę.

Około północy pociąg ciężko dysząc, zatrzymał się. Jesteśmy na miejscu. Wyglądamy przez okna. Ciemno, choć oko wykol. Przed jakąś ruderą tli się światełko. W półcieniach majaczy napis: Ustroń. O bagażowym nawet marzyć nie można, na peronie głucho, tylko syk pary z lokomotywy. Wytaszczamy nasze liczne i ciężkie bagaże z przedziału. Tadzio idzie poszukać dorożki. Umundurowany jakoś nie rusza z miejsca i nic nie mówi. Wkrótce okazuje się, że wszyscy wkoło śpią i że dorożki nie dostaniemy. Przechowalnia bagażów nie istnieje. Umundurowany robi wrażenie zakłopotanego gospodarza.

— Czy do hotelu daleko?

— Będzie z dziesięć minut.

— Piechotą?

— Dorożką...

Góra waliz i neseserów zdaje się rosnąć. Po chwili wahania porywamy nasze bagaże i ruszamy przed siebie. Umundurowany odbiera Ali walizki i sam je niesie. Tak brniemy przez nieznane miasteczko, pogrążone w cieniach nocy. Powietrze ostre, chłodne wlewa się do płuc mocnym strumieniem.

— Daleko jeszcze?

— Jeszcze...

Idziemy już chyba godzinę. Wkoło niczem niezmącona cisza, w której dudnią nasze kroki, jak na dnie beczki. Ale oto domy gęstnieją. Tu i ówdzie błyska lampa elektrycztwór, mały, krępy człek, obrośnięty kępkami włosów, jakby wydartych ze starej kanapy, zpośród których spoglądają małe, przerażające oczy. Kosmata łapa trzyma lampkę. Widmo powtarza:

— Więc szukacie pokoju?

— Szukaliśmy...

— Wielu was tam jest?

— Trzech i jedna pani... bełkoczę i widzę, jak domek zamienia się w jaskinię.

— Usuniemy się z pokoju. Będzie dobry dla nich. Kobieta prześpi się obok w małej izdebce.

— Dobrze, zaraz przyniesiemy bagaż, odpowiada mundurowy.

Po jakimś czasie pukamy powtórnie. — Drzwi otwierają się, potem czuję jakiś ciężar, opadający mi na ramię. Ala słania się, ma mętne oczy. Podtrzymuję ją.

— Oh, ja nie chcę... Ja nie chcę za nic na świecie — szepcą jej zbielałe wargi.

Nie wiem jak weszliśmy. Drzwi zatrzasnęły się. Mundurowy został na ulicy. Duży pokój, czysto i miło urządzony, ośmie-

Poniżej: Zameczek P. Prezydenta R. P. w Wiśle.



Brodacz wchodzi do pokoju. Niesie jakieś dziwne światło. Coś błyska. Może to nóż. Przybysz uśmiecha się, a broda powiewa wkoło całej jego postaci...

Ale to już sen.

Nazajutrz dowiadujemy się, że do Wisły, do której kolei niema, najlepiej pojechać pocztą, więc umawiamy się z woźnicą na drugi dzień. Wyjazd ma nastąpić o 8 rano. Dzień w Ustroniu przepełnionym letnikami mija szybko. Ze zdziwieniem patrzymy na czerwoną kulę słońca, upadającą za góry. Poczem następuje zaraz noc — chłodna, rzeźka, perląca się gwiazdami, jak zamrożony kryształ.

O siódmej jesteśmy gotowi do drogi, — o ósmej niespodzianka. Proszę sobie wyobrazić: bryczka z dwoma ławkami, daszkiem z płótna w pasy biało-czerwone na czterech żelaznych prętach, w nogach worki z pocztą i stylowy woźnica. Poprostu „Dziki Zachód".

Jedziemy wyboistą drogą po skrzypiącym szutrze z koryta rozlewiska, między lasami zchodzącemi do nas z wzgórz, wąwozem... Koń człapie. Daszek chwieje się nad nami. Słońce wykrzesuje błyski z polnych kamieni. Ustroń zginął za nami. Wkoło pustka. Wreszcie parę domków, parkany, potem placyk i długa drewniana oberża z gankiem. Tu wyładowują wory z listami. Wysiadamy. Rzeczy układają w stosie przed zajazdem. Ja z Tadziem idziemy dalej białą drogą do zagrody jakiegoś Pawła Lazara. Ma mieszkać za zakrętem, przez mostek, trochę w górę, po prawej. Będzie z 20 minut piechotą...

Po godzinie przyjeżdżamy do naszych wozem. Ładujemy walizy, zakupione torby z kaszą, mąką, słoniną i cukrem. Jazda!

Wynajęliśmy dużą izbę z piecem kuchennym i pokoik obok za 14 złotych miesięcznie. Drzewo będą gospodarze dawać. Sprzątać mamy sami i myć garnki. Układamy dyżury. Gotowanie i noszenie drzewa, — sprzątanie, mycie garnków. Ktoś zawsze ma dzień wolny, żeby innym przeszkadzać...

Z początku, gdy cisza zahuczała w uszach czujemy się nieswojo. Ali podobają się bar-



Górale z Istebnej przed Domem Zdrojowym w Wiśle.



Nowoczesny basen kąpielowy w Wiśle.

na. Zbliżamy się do celu i może właśnie dlatego coraz sztywniejsze stają się palce i cięższe, wprost nie do uniesienia bagaże. Po kilkudziesięciu krokach słyszymy już muzykę. Stajemy przed oświetlonemi oknami. Pokoju oczywiście niema, więc siadamy do stołu, by coś zjeść. Policjant obciera wargi z piwnej piany i rusza na zwiady. Wraca rozpromieniony. Jest podobno jakiś dorożkarz, u którego będzie można wynająć pokój. Ja, Tadzio i policjant idziemy tam. Po chwili pukamy do drzwi malutkiego domku.

— Kto tam?

— Podobno jest tu pokój do wynajęcia...

Drzwi uchylają się i naraz oblewa nas zimny pot. To jest zbyt niespodziewane, wprost niewiarygodne. Przed nami stoi po-

lił nas nieco. „Widmo" zniknęło, pokazawszy nam uprzednio drogę do drugiego pokoiku. Na odchodnym brodacz rzucił ponuro:

— A do komórki nie radzę teraz — bo pies spuszczony z łańcucha, pilnuje podwórza...

Zaczynamy szeptem narady. Ala kategorycznie odmawia spania w pokoiku. Tadzio decyduje się ze łzami w oczach na nocleg w drugim kącie domu. Powoli zaczynamy się rozbierać. Światło gaśnie, układamy się na zestawionych razem szerokich łóżkach pod stosem pierzyn. Przez chwilę nadsłuchujemy. Cisza wkrada się do uszu. Powieki opadają. Napięte nerwy i mięśnie odprężają się. Ale zaraz... Coś słychać. Zdaje się, że to skrzypią drzwi.

dzo krowy, obory nazywa swoim ogrodem zoologicznym. Marjan przesiaduje w lakierkach i białych getrach w pobliżu stajni (bardzo lubi ten zapach, mówi, że przypomina mu Jockey Club) i pisze wiersze. Tadeusz usiłuje malować, ale nie może sobie dać rady z nadmiarem światła i idzie wybierać lipienie z pod brzegu w strumieniu.

Dzień mija za dniem. Golimy się coraz rzadziej. Marjan nie nosi już getrów, twierdząc, że zachowuje je na jarmark. Ja schowałem szkicownik i zajmuję się słoikami z konfiturą i coraz częściej myślę o kotlecie wieprzowym. Tymczasem żyjemy mlekiem, kaszą, ziemniakami, jajami i plackiem. Wyglądamy jakby nas odebrano z remontu. Skóra zbronzowiała. Listonosz

Ciąg dalszy na str. 24-tej.

W takt 2/4 czy 3/4 ?



Powyżej: Trzy figury ekscentrycznego „black-bottoma", który jako taniec trudny i nie… tyczny był wykonywany przeważnie przez zawodowców (tańczą Ruth Bayton i Jussy v. Ho…)



Two-step utrzymywał się długo na parkietach dancingowych.



One-step należał do ulubionych tańców powojennych.

Wojna wprowadziła rewolucję w świecie tanecznym. Taniec nie jest już przywilejem sal balowych. Wtargnął zwycięskim marszem do sal lokali publicznych. Tańczy się wszędzie — w restauracji, lokalu nocnym, na tarasach, pokładach statków. Po czterech latach wojny — pewne kraje zostały jakby ogarnięte szałem tańca. Lokale rozrywkowe powstają jak grzyby po deszczu. Nauczyciele tańca urządzają kongresy, lansując rok rocznie coraz to nowe tańce.

Taniec stał się łatwiejszy — łatwiejszy przynajmniej do wyuczenia. Tańce wirowe zostały wyparte przez tańce amerykańskie, które mają coś w sobie z rytmu marszu wojennego. Ludzie na salach dancingowych poczęli maszerować, a nie tańczyć. Potem zaczęli sobie poprostu deptać po piętach.

Sale dancingowe są najlepszym dowodem... przeludnienia Europy. Na małej przestrzeni, na paru metrach kwadratowych kłębi się gęsty tłum. O pięknym, dawnym tańcu wirowym — nie można tu marzyć. Ludzie zresztą giną w tłumie. Zbliżają się do siebie coraz bardziej, coraz to nowe tańce posiadają coraz to więcej wyrazu erotycznego.

Pamiętamy kroki one-stepa, two-stepa, shimmy, jawy, charlestona, fox-trotta, black-bottoma . Przeżyliśmy wszystkie szały taneczne. Widzieliśmy potworne karykatury nowych tańców, z jakimi produkowali się ludzie, nie mający jeszcze pojęcia o zasadach coraz to nowych przebojów tanecznych. Jednak wszyscy tańczyli wszystko. Wytworzyła się nowa demokracja taneczna, polegająca na tem, że przebój taneczny popularyzował się wszędzie w jednakowem tempie — od wytwornych sal tanecznych po tawerny przedmieścia.

Radjo przyczyniło się w dużej mierze do rozpowszechnienia nowej muzyki tanecznej. Wszyscy słuchając tych samych melodyj przyzwyczajali się do tych samych tańców.

Aż wreszcie przyszła reakcja. Reakcja najnaturalniejsza w świecie.

Ludzi zmęczył rytm tańców amerykańskich, które wraz z Ligą Narodów otrzymaliśmy w darze od Ameryki po wielkiej wojnie. Wszak pierwszymi mentorami tańców nowych na kontynencie europejskim byli żołnierze i oficerowie armji amerykańskiej, którzy spełnili dobre dzieło przyspieszenie zwycięstwa wojsk sprzymierzonych.

Reakcją przeciwko tym tańcom — był powrót walca. Król tańców, walc, wkroczył znowu zwycięsko na sale balowe, dancingowe i znowu objął tam wszechwładne królowanie, dzieląc swe panowanie z spokojnem tango.

Poniżej: Trzy figury słynnego „charlestona" (tańczy para Ruth Bayton i Jussy v. Horvath).









Na lewo (od lewej): Król tańców — walc (tańczy Lilian Harvey). — Tango (tańczy Ginger Rogers i Fred Astaire). — Faxtrott (tańczy mistrzowska para Wells-Sissons na turnieju w Baden).

Kiedy blisko dziesięć lat temu urządzono w Anglji, w ślad za Ameryką, pierwszy tor wyścigowy dla psów, wielu rasowych sportowców angielskich podniosło żywy protest. Puścić charty za mechaniczną przynętą, wydało się synom Albionu herezją, równą polowaniu na lisa... ze strzelbą. Anglik bowiem zadusi gołemi rękami i powiesi na pierwszem drzewie każdego, kto wpadłby na zgoła straszny pomysł strzelania do lisa z dwururki. Zgubiłby się bezpowrotnie w oczach opinji i ten, ktoby w obliczu takiej „zbrodni“ postąpił pobłażliwie wobec winowajcy.

Od dawien dawna, jeszcze w starożytnym Egipcie, jak poucza literatura i rzeźba, chart służył do pościgu za zającem i lisem. Miałażby się w nim nie burzyć szlachetna krew przodków, gdy zamiast w żywe mięso, wpije kły w imitację zwierza z trocin i kłaków? Biadano więc nad upadkiem obyczajów i wróżono, że nic dobrego z tego nie wyniknie.

I oto naprzekór wszystkiemu, w przeciągu kilku zaledwie lat, sport ten, jak pożar prerji, ogarnął całą Anglję. Przez jedną noc pobił wszelkie rekordy popularności. — Masa przylgnęła duszą do tego sportu. Psie tory wyścigowe rozmnożyły się w szybkiem tempie. Garstka osób, która przyglądała się pierwszemu biegowi, wzrosła tak niepomiernie, że sądząc po frekwencji widzów, „greyhound racing“ cieszą się dziś w Anglji największą ilością zwolenników. W kraju, gdzie mecze cricketa gromadzą tysiące, wyścigi konne dziesiątki, a mecze footballowe setki tysięcy widzów, sport, który ma uchodzić za najpopularniejszy, musi się wykazać prawdziwie rekordową frekwencją. W istocie — wyścigom psów przygląda się rocznie nie mniej, jak 25 miljonów widzów. Zawrotna cyfra, która blednie chyba wobec jednej tylko jeszcze liczby, wykazującej obrót totalizatora na torach psich wyścigów.



Przez tory psich wyścigów („greyhound racing“) w Anglji przewija się rocznie 25 miljonów widzów.

„GREYHOUND RACING“
SPORT, KTÓRY ZROBIŁ KARJERĘ



Psy na torze wyścigowym

Trudno bowiem przemilczeć, że choć wyścig psów sam dla siebie jest widowiskiem efektownem i emocjonującem, niekoniecznie czysto sportowe atrakcje tego widowiska ściągają na stadjon nieprzebrane tłumy. W Anglji niema loterji, wyścigi konne są niedostępne dla niższych warstw społeczeństwa. Irlandzki, nielegalny „Sweepstake“, choć spopularyzowany w całej Anglji, nie zaspakaja ani w części potrzeb hazardu. To też przeciętny obywatel „korzysta“ z tej jedynej sposobności, zgrywając się na wyścigach psów. I jak jeszcze! Roczny obrót totalizatora na torach angielskich osiąga cyfrę fantastyczną, wręcz nieprzyzwoitą, która przekracza kilkakrotnie budżet niejednego państwa...

...Rien ne va plus! Po zielonej wstędze toru odbywa szarak „bieg“ próbnej rundy. Pręt wbity do boku, umocowany prostopadle do toru, poruszany elektrycznie, posuwa go z szybkością, o jakiej zaledwie marzyć może żywy zając, umykający przed śmiercią. Z chwilą, gdy przynęta, obiegłszy raz tor, mija linję startu, podnoszą się automatycznie przednie ścianki komórek startowych... Sześć żywych pocisków wypada w ślad za „zwierzyną“. Równocześnie podniecony tłum podnosi wrzask. Bo co też to za wyścig! Charty sadzą wspaniale. Nie popędzane szpicrutą dżokeja, dają niecodzienny pokaz wysiłku, energji i ambicji, chciałoby się powiedzieć — „nadzwierzęcej“. Z pyskiem nisko przy ziemi, w wybałuszonemi ślepiami, zda się, że nie dotykają ziemi — lecą w powietrzu. To skurczone w kabłąk, z kręgosłupem wygiętym jak sprężyna, to znów zawisłe na mgnienie oka nad ziemią, pożerają przestrzeń błyskawicznie. Dwa okrążenia toru po 500 yardów, pokrywają w niespełna minutę. Krzyk wzmaga się progresywnie. Do mety wpadają zziajane psiska wśród ogłuszającego wrzasku triumfu lub zawiedzionych nadziei widowni. Wraz rzucają się na imitację zająca, który w takiej chwili może podnieść w podzięce szklane ślepki ku niebu, że nie jest żywy, lecz wypchany. Mszcząc się za swój srogi zawód, za to, że z nich haniebnie zakpiono, psy dziobią zajadle kukłę kagańcami, wśród wściekłego skowytu wyrywają kępki sierści. Długo trwa, nim dyżurni zdołają je chwycić na linewki i siłą odciągnąć od „zwłok zająca“.

Zastanawiającem jest, czy psy, tyle razy wbłąd wprowadzane, za każdym biegiem na nowo biorą przynętę „na serjo“, czy też pędzą za nią... z przyzwyczajenia. Prawdopodobniejsza jest pierwsza ewentualność, bo znaną jest rzeczą, że na niektóre psy działa tylko kukła o pewnym kształcie, gdy inna pozostawia je niewzruszonemi. Zdarza się też, że podczas wyścigu chart nagle jakby się połapał, że to kpiny, przestaje biec, odwraca się tyłem do mety i macha lekceważąco ogonem, jakby mówił: hola, to ma być zając? Nie oszukacie mnie!... Innym razem goni za tą samą kukłą jak szalony. I na to nie ma odpowiedzi.

Po skończonym biegu, przy wtórze rogu prowadzą zwycięzcę na rzęsiście oświetlone podjum. Doskonały w każdym szczególe, zwłaszcza jeśli idzie o przystosowanie do celu, „greyhound“ zajmuje sam szczyt psiej hierarchji. Natura i ludzki genjusz cierpliwości podały sobie ręce, by przez wieki doskonalenia cech i kształcenia zalet święcić swój triumf w tem wspaniałem zwierzęciu. Gdy stoi wyprężony w całej okazałości swej pysznej sylwety, z drgającemi węzłami mskułów pod lśniącą skórą, pełen ukrytego ognia, który nieomylnie świadczy o „charakterze“ i szlachectwie, uosabia chart w sposób najbardziej harmonijny grację, piękno i siłę.

Cena takiego wyścigowego charta dochodzi niejednokrotnie do bardzo wysokich sum. Za obiecujące szczenię płaci się tysiące złotych, nie mówiąc o wytrwanych biegaczach i faworytach, których cena idzie w dziesiątki tysięcy. Nie zawsze się to opłaca. Bywało, że na wagę złota kupiony pies odmawiał posłuszeństwa i pod żadnym warunkiem nie dawał się nakłonić do biegu na torze. Naodwrót, za nieznaczną sumę np. kupiony „Mick the Miller“ zdobył dla swojego właściciela krociową fortunę.

„Mick the Miller“ — to najsłynniejszy pies w historji sportu. Nigdy nie pobity, zdobył niezliczoną ilość nagród, ustanowił po dziś dzień nienaruszone rekordy szybkości. Jego imię ściągało na stadjon i wprawiało w podniecenie miljonowe rzesze. Sprzedany został wcale nie za „psie pieniądze“, bo za okrągłą sumkę 50.000 złotych!

Rafael Sharp (Londyn).

Życie Barbary Hutton

Ostatnie telegramy z Kopenhagi doniosły, że sensacyjna sprawa rozwodowa najbogatszej kobiety świata Barbary Hutton i jej drugiego męża, duńskiego arystokraty, hr. Haugwitz Hardenberg Reventlow weszła w stadjum, jakby sądzić można, ostateczne. Mianowicie duńskie ministerstwo sprawiedliwości wydało decyzję zezwalającą na ten rozwód, przyczem dziecko przyznane zostało ojcu i uznane za obywatela duńskiego.

Tak więc piękna Amerykanka, dysponująca wprost nieograniczonemi środkami finansowemi, pokonana została przez prawo staruszki Europy. Tembardziej uznać to można za klęskę, że właśnie losy jej dziecka, jego przyszłość, wychowanie i przynależność państwowa stały się powodem nieporozumień w tem małżeństwie, przyczem Barbara Hutton odegrała w tej wojnie rolę strony winnej agresji, zamierzającej dokonać całkowitej aneksji wspólnego dziecka.

Perypetje i niedole małżeńskie słynnej „Princess Dollar" już od kilku lat zwracają na siebie uwagę prasy całego świata. Ostatnia sytuacja i poniesiona klęska, połączona z generalną klapą drugiego już zrzędu jej małżeństwa, budzą zastanowienie i nasuwają pewne uogólnienia.

Użyliśmy zwrotu, że potęga jej pieniędzy uległa sile prawa. Niewątpliwie taki epilog sprawy, w której z pewnością działały różne ukryte i potężne sprężyny, budzi pewną otuchę u wszystkich, co jak kanie dżdżu spragnieni są praworządności; okazuje się, że jednak, czasem, gdzieś... między Anglją a Danją, zdala od zbawczych totalizmów, a pod zjedzonymi przez mole gronostajowymi płaszczami ustrojów monarchicznych prawo podmiotowe jednostki może się ostać przeciw takim sprężynom. Popatrzmy jednak na to z innej strony: czy rzeczywiście prawo jest źródłem klęski uroczej Barbary, czy też raczej nie jej kolosalny majątek, czy nie pieniądz właśnie, nagromadzony w rękach jednostki w zupełnie anormalnej ilości, był głównym jej wrogiem i przyczyną jej niepowodzeń? Zastanówmy się. — Każdy, czy biedny czy bogaty, dąży do szczęścia, zawsze mu coś brakuje, czasem mniej, czasem więcej, a czasem niestety bardzo wiele. Przeważnie jednak ludzie skłonni są uważać brak pieniędzy za ten moment, który staje między nimi a szczęściem. Sądzą, że za pieniądzem idzie zdrowie (można się leczyć i żyć higjenicznie), cnota (łatwiej wtedy być uczciwym), mądrość i szacunek ludzki (bogaty zawsze będzie mieć rację), no i wreszcie miłość, ta wieczna potrzeba każdej ludzkiej istoty, bez której nikt naprawdę szczęśliwym być nie może.

A teraz przedstawmy sobie jak ta sprawa mogła wyglądać u tak fantastycznie bogatej dziewczyny, jaką była jedyna dziedziczka fortuny Woolwortha?

Było to w roku 1878, kiedy Frank Winfield Woolworth, biedak bez centa przy duszy, wrzucił do swego koszyka sprzedawcy ulicznego parę drobiazgów, jak szczotka do zębów, łyżka do butów i t. p. i z napisem: „Cena jednakowa 5 centów" — wyszedł na miasto. Pomysł był genjalny — bo oparty na chciwości ludzkiej; każdy będzie starał się, korzystając z równej ceny za różne przedmioty, wybrać coś najwartościowszego i przechytrzyć sprzedawcę: wykluczone przecież jest, aby wszystkie te przedmioty mimo równej ceny miały idealnie tę samą wartość; trzeba tylko być sprytnym i wiedzieć co wybrać. Okazało się kto był naprawdę sprytny.

Z koszyka sprzedawcy ulicznego wyskoczył w kilka dni sklepik, a ten zkolei zaczął się rozmnażać w liczne magazyny. — Całe Stany Zjednoczone są wkrótce nimi zasiane. Potem przychodzi Europa — potem świat. Latami całe roje pięciocentówek wysypują się zewsząd i gromadzą się w górę złota. Niebotyczny, dumny Woolworth-Building w Nowym Yorku głosi światu potęgę tej fortuny.

Jedyną dziedziczką tych miljardów jest mała dziewczynka Barbara, córka adwokata Franklyna Huttona, a przez matkę Ednę wnuczka Franka Woolwortha. — Urodzona w 1912 r., już jako trzyletnie dziecko traci matkę, a niedługo potem babkę. Czy Barbara może pamiętać słodycz pocałunku matki, czy zaznała w młodości tego nieporównanego uczucia bezpiecznego schronienia w jej ramionach? Natomiast, gdy ma zaledwie lat 12, dziedziczy 800 miljonów po dziadku!

Łatwo to powiedzieć: 800 miljonów dolarów. Przypatrzmy się jednak trochę bliżej, jakie to daje możliwości. Przypuśćmy, że majątek taki daje niewygórowany dochód 4 proc., czyli 32,000.000 dolarów rocznie. „Uposażenie miesięczne" wynosi wówczas 2,666.666 dolarów, co daje dziennie około 88.000 dol., a około 3.700 dol. na godzinę, tak, że właścicielowi jego każda sekunda wybija dolara w dzień i w nocy, czy śpi, czy czuwa, czy je. Wystarczy to sobie przeliczyć na złote posrebrzane i porównać z dochodami w naszych stosunkach. Fakt, że dwie lub trzy duże kamienice można dziennie z tego kupować.

Jakaż może być psychika, jakie kategorje myślenia kogoś dysponującego takimi środkami, zwłaszcza jeśli to jest młoda dziewczyna i do tego jeszcze naprawdę piękna? Czy jest możliwy normalny stosunek do otoczenia i życia? Barbara Hutton od najmłodszych lat widziała koło siebie tylko ludzi za uprzejmych, za uprzedzających i uległych, zanadto nią zachwyconych. Ludzi bezinteresownych w tych warunkach się nie widuje. Oczywiście, że wszystkie szczegóły jej życia były stałym żerem dla prasy, zwłaszcza jeśli się zna prasę amerykańską. Każdy jej sprawunek, nowa suknia, pies, czy samochód były fotografowane, publikowane — jednem słowem miarodajne. Czy mogła o czemś marzyć, do czegoś poprzez przeszkody dążyć dziewczyna, której każde marzenie, każda zachcianka zgóry były spełnione i dostępne? Owszem, tak. Mogła marzyć o tem, by być kiedyś naprawdę kochaną dla siebie tylko, a nie dla swej fantastycznej fortuny przez mężczyznę takiego, o jakim właśnie marzą kobiety. Tak, ale jeśli nawet szczęście to ją spotka, jeśli pokocha piękną dziewczynę ktoś wart jej uczucia, to jak go poznać i odróżnić pośród zbiegowiska tych wszystkich, którzy za wszelką cenę będą starać się jej przypodobać i zdobyć ją — oczywiście podstępem. Czy kompleks nieufności, który z konieczności w niej istnieje, nie zabije głosu serca, nie unicestwi trafnego nawet jej wyboru, i czy najsłodszych nawet chwil nie zatruje? Sytuacja pra-



Barbara Hutton ze swym drugim mężem hr. Haugwitz - Reventlow (po prawej) po chrzcie synka w Marlborough House w Londynie

wie że beznadziejna — a jednak natura ma swoje prawa.

W Hiszpanji Barbara poznaje księcia Alexego Mdivani, Gruzina z pochodzenia, słynnego gracza w polo. Bardzo szykowny, bardzo wzięty w międzynarodowej socjecie, Alexy Mdivani celuje pod każdym względem wysoko. Brat jego Sergjusz uznał za godną siebie zdobycz Polę Negri w chwili szczytowej jej karjery. Alexy zdobywa Barbarę Hutton, rozwodząc się dla niej i puszczając się za nią aż na daleki Wschód. Wracają stamtąd zaręczeni. Ślub w Paryżu wśród szalonych wprost wydatków. — W Ameryce małżeństwo to z nie-Amerykaninem i ucieczka do Europy tych kapitałów wywołuje demonstracje uliczne tłumów. Następują dwa lata pożycia małżeńskiego, spędzonego wśród nieustannego karuzelu zabaw, podróży i światowego życia. Jednak małżeństwo to coś innego niż romans dwojga ludzi żyjących chwilą wśród powodzi złota. Alexy zawiódł nadzieje młodej miljarderki. Finał ekskursji całej — rozwód w Reno i żałosne uczucie niesmaku. Gorzej jeszcze — bo co dalej?

22-letnia, młoda kobieta, odgrodzona od szczęścia barjerą złota. Gdyby choć mogła być matką i zaznać rozkoszy tego jedynego uczucia, które daje dla niej gwarancję bezinteresowności! W tym wieku nie rezygnuje ze szczęścia, a kandydatów na pocieszyciela z pewnością nie brakło. — W Karlsbadzie poznaje Barbara hr. Kurta Haugwitz-Reventlow, arystokratę duńskiego ze starego rodu, tysiącletniego rodu. Przodków swych może hrabia wymienić pośród dworzan Karola Wielkiego, ród jego dał Danji królowę. Hrabia nie jest typem zdegenerowanego międzynarodowca — łowcy posagów. Jest bardzo bogaty i osiadły; w Danji posiada wielkie wzorowo prowadzone dobra. Czy może dlatego, że potraktował Barbarę swobodnie i naturalnie, że spojrzenie jego spokojne i pewne, że zainteresowany pięknością jej i smutkiem, dyskretnie podsunął jej możliwości szczęścia — dość, że Barbara decyduje się szukać w pożyciu z nim tego upragnionego szczęścia.

I zdawałoby się, że go znajdzie. Przychodzi na świat upragnione dziecko, mały Lance, który rodząc się omal że nie pozbawił życia swej matki. Osiedli w Londynie, we wspaniałym pałacu specjalnie dla nich wybudowanym pośród rozległego parku. — Barbara, dawna ekscentryczna Amerykanka, staje się panią spokojnego domu i matką wychowującą z całem zamiłowaniem swe dziecko. Uważa za swą niepodzielną domenę tego małego dziedzica olbrzymiej fortuny Woolwortha. Innego jednak zdania jest ojciec dziecka hr. Reventlow. Dla niego znowu mały Lance jest jednym z szeregu członków wielkiego duńskiego domu, dziedzicem starego nazwiska — przyszłym arystokratą duńskim. Matka chce, aby był obywatelem angielskim i na takiego go chce wychować. W tym momencie dopatrzeć się można zgubnego wpływu miljonów Barbary. Jej nastawienie do małżeństwa jest wynaturzone przez poczucie władztwa jej pieniędzy. Princess Dollar skłonna jest uważać swój majątek za królestwo, swego męża za księcia-małżonka, coś w rodzaju trutnia-samczyka, który zapewniwszy królowej możność posiadania potomstwa, powinien być szczęśliwy ze swej roli. Tymczasem dumny arystokrata myśli innemi, bardziej patrjarchalnemi kategorjami i na tę rolę nie zgodzi się nigdy. — Ożenił się wprawdzie bardzo bogato, ale jest i pozostanie głową rodu, którego dalszym ciągiem jest jego syn. Barbara nie jest uległą żoną — jest za bogata. — Oto małżeństwo skłócone, hr. Reventlow stara się zawładnąć swem dzieckiem, przygotowując rodzaj porwania. Alarm całej policji londyńskiej i całej prasy światowej. Władze angielskie aresztują hrabiego pod zarzutem gróźb karalnych i wypuszczają go dopiero za kaucją. — Sprawa stanęła na ostrzu miecza, wojna między małżonkami w pełni. Hrabia ma za sobą silne atuty, jest w pełni praw jako ojciec, nie można mu nic poważnego zarzucić tak, aby przyszły rozwód, jakoby przez niego zawiniony, pozbawił go dziecka. Barbara czuje to, rozpoczynają się układy, zakończone właściwie jej kapitulacją. — Mały Lance zostaje uznany za Duńczyka, oddany ojcu, z tem tylko, że do siódmego roku życia wiele przebywać będzie u matki. Wynik — rozbite małżeństwo i samotna młoda kobieta zawiedziona i pokonana przez własne złoto.

Cała ta historja to kanwa, przez którą ciągle przewija się tak aktualne w dzisiejszych czasach pytanie: Czy całkowita niezależność żony od męża nie pozbawia jej tych cech kobiecych i tego nastawienia, które od wieków stanowią sylwetkę kobiety żyjącej w trwałym związku z mężczyzną?

Scott.

Dokończenie ze str. 2-ej.

Nagle książka porzucona przez panią Ninę, obsunęła się i spadła z hukiem na podłogę. Towarzysz podróży porwał się szybko i podniósł „Łowcę".

— Dziękuję...

— Proszę bardzo... A... może służyć Pani „Kurjerem", „Światowidem", „Asem", „Wróblami na dachu"?... bo — o ile mogłem zauważyć — Wallace nie zdołał łaskawej pani zainteresować na dłużej...

— Dziękuję... a zresztą — skoro pan już tak uprzejmy, to... poproszę o „Asa"...

— Służę... Pani zapewne do Zakopanego?

— Tak jest...

— I to niezawodnie szanowny małżonek... odprowadzał panią na kolej?!...

— Hm... tak...

— Podobnie jak i mnie moja żona, która, niestety, nie mogła razem pojechać ze mną do Zakopanego...

Rozmowa zawisła w powietrzu. Pani Nina poczęła przerzucać ilustracje; a pan z „zarłocznemi oczyma" powrócił z „wymownem" westchnieniem do swej lektury.

— Pozwoli pani — odezwał się, „odczekawszy chwilę" — że uczynię to, co zwykle robi się dopiero wtenczas, kiedy przygodni towarzysze podróży rozstają się ze sobą, t. j. przedstawię się... Ludwik Żarski... bankowiec.

Pani Nina wyciągnęła z wahaniem rękę, na której Żarski wycisnął soczysty pocałunek, przytrzymując ją dłużej.

— Linkowa...

Teraz już było rzeczą inwencji, wymowy i wrodzonych Ludwikowi zdolności causera, aby rozmowę tak opornie nawiązaną utrzymać i poprowadzić zajmująco, błyskotliwie, w miarę nawet pikantnie, to znów w tonie zwierzeń, któreby — od biedy — mogły uchodzić za szczere.

Specyficzna atmosfera „pociągowa" sprzyja bowiem — jak rzadko która — zwierzeniom i „wylaniu"; ludzie zupełnie obcy czują nagle potrzebę dzielenia się swemi przeżyciami i pozwalają wglądnąć — jeśli już nie w samą „głębię" swych dusz — to przynajmniej do ich „przedsionka" i to, czegoby nigdy nie powiedzieli przygodnemu sąsiadowi n. p. w teatrze, czy w tramwaju... lub w restauracji, mówią bez zastrzeżeń towarzyszowi podróży w pociągu.

Ludwik Żarski posiadał w znacznym stopniu ów kunszt zainteresowania swoją osobą kogoś, na kim mu zależało. Naraz wydało się pani Ninie, że tego człowieka zna już oddawna, że „łączy" ją z nim więcej, aniżeli z niejednym z jej oficjalnych adoratorów z kawiarni i dancingu — i że... wogóle... gniew na męża już się gdzieś zatracił i ustąpił miejsca jakiejś wdzięczności, że tak stało się, a nie inaczej.

Wszystko „składało się doskonale" — jak zwykł mawiać przyjaciel Żarskiego — pan Władzio Górka — i „znajomość z pociągu" nie miała być efemerydą, skoro tak pani Nina, jak i pan Ludwik — „całkiem przypadkowo" — wynajęli ten sam pensjonat, jako miejsce sezonowego pobytu...

— — — — — —

....Drogi Ludwiku, o ile wnosić mogę z Twojego milczenia, to musisz bawić się dobrze w Zakopanem tak, że nie masz czasu na napisanie kilku słów do żony Nie sądź jednak, że robię Ci z tego powodu wymówki. Owszem — cieszę się nawet, że tak jest i życzę Ci, abyś odpoczął należycie i „odprężył" swe nerwy, na które tak często skarżyłeś się w domu. Spodziewam się, że Zakopane zrobi Ci dobrze i wrócisz odświeżony i bardziej zadowolony z życia i z... otoczenia. Wyobraź sobie, że odkąd wyjechałeś, Mamie jest coraz lepiej. Ja — o ile nie czuwam przy Mamie — chodzę nieraz do kina, aby nie uschnąć z nudów, przed któremi Ty uciekłeś do Zakopanego. Całuję Cię, Twoja Olga.

P. S. Aha... czy znasz może inżyniera Linka, którego przypadkowo poznałam?

— — — — — —

...Drogi Toniu! Zapewne musisz gniewać się już na swoją Ninkę, że tak długo nie pisze, ale — faktycznie — nie mogłam znaleźć wolnej chwili, aby skreślić kilka słów do Ciebie. Otóż — pensjonat mam dobry, wikt smaczny i obfity, towarzystwo wcale miłe. Czuję się coraz lepiej, nerwy w porządku, werandują, robię wycieczki dolinowe i kąpię się w Jaszczurówce, a od czasu do czasu tańczę u „Trzaski". Znajomych z Krakowa nie brakuje, ale mało interesujących, chyba z wyjątkiem niejakiego Żarskiego, bankowca, którego poznałam w pociągu. Przypuszczam, że musisz go znać z widzenia... N. b. żonaty.

Czy bardzo tęsknisz za swoją żonką? Sądzę, że nie... Znając Ciebie dobrze, ty stary łobuzie... tembardziej, że nic nie piszesz... zapewne musisz bawić się niezgorzej odemnie: Ale... nie zdradzaj mnie i pilnuj domu, aby nas nie okradziono. Całuję Cię, Twoja Nina.

P. S. Przyślij mi moją drugą, liljową pyjamę, którą zostawiłam w szafie.

— — — — — —

No... no... traf, czy przeznaczenie?! mówili niemal w tym samym czasie Teodor Link i Ludwik Żarski, przeczytawszy listy od swych małżonek. I zadumali się głęboko.



S I E R P I E
NAD BAŁTYKIE

PRZEBÓJ MUZYCZNY „ASA"

WSPOMNIENIE SŁONECZNYCH DNI

WALC ANGIELSKI

ROMAN GWOŹDZIK





PIERRE VALDAGNE

RÓŻE

NOWELA

PRZEKŁAD Z FRANCUSKIEGO
HELENY HELLERÓWNY

— A kobiety?

Młody podporucznik Piotr de Birot zasięgał informacyj od swego starszego kolegi, Juljana Trivel, porucznika 52 pułku strzelców o miasteczku Aurillac, ro którego niedawno został przeniesiony.

Juljan objaśnił mu wszystko uprzejmie. Obawiano się go nieco ze względu na jego zjadliwą ironję i skłonność naśmiewania się z bliźnich, lecz potrafił on przynajmniej rozpraszać nudy w małym garnizonie, w którym rozrywek było niewiele.

— Nie sądzę, ażeby pan mógł się tu dobrze bawić — powiedział Piotrowi de Birot. — Sześćset kilometrów od Paryża! Na szczęście mamy konie. Bardzo lubię ten sport. Spodziewam się, że będziemy jeździli razem nad brzegami Jordonne. A pozatem mamy przecie zawód, który lubimy... I tak jakoś zejdzie czas...

— A kobiety?

Juljan przyjrzał się badawczo podporucznikowi, zanim mu odpowiedział. Podobał mu się. Uważał, że jest piękny w swej niebieskiej bluzie, posiada świeżą twarz i błyszczące oczy, które z ufnością spoglądają w przyszłość. Na jego ustach zjawił się uśmieszek, gdy wreszcie odpowiedział:

— Kobiety? Jest bardzo niewiele takich, któreby mogły wchodzić w rachubę. Inne nie będą pana interesowały. Znam tylko dwie naprawdę ciekawe kobiety i z tych dwóch zarezerwowałem jedną dla siebie. Oświadczam to panu odrazu, ażeby uniknąć jakichkolwiek nieporozumień pomiędzy nami. Co do drugiej trzebaby się dowiedzieć, czy jest wolna. To śliczna kobietka, ale ma zasady: „Zawsze tylko jeden".

Piotr de Birot zasępił się

— Dwie kobiety, z których tylko jedna wchodzi w rachubę! Ależ to dla mnie śmierć głodowa!

— Nic nie można wiedzieć... Zdaje mi się nawet, że ma pan obecnie pewne widoki... Opowiadano mi, że pani Palivier od kilku miesięcy jest sama. Możemy to jednak rychło sprawdzić i powiem panu zaraz, w jaki sposób... Wpierw muszę pana uprzedzić, że pani Palivier jest osobą z najlepszego towarzystwa. Jest ona wdową po radcy tutejszego sądu. Jej mąż zmarł dwa lata temu, pozostawiając dość duży majątek. Pani Palivier pozostała w naszem mieście i wykorzystuje swą swobodę tylko w takim stopniu, jak to przystoi kobiecie ładnej i młodej. Trzeba przyznać, że wie ona, jak winna się zachowywać jako osoba swej sfery. Nie można nic zarzucić towarzystwu, z którem przebywa. Jednego czy dwu jej przyjaciół nie brano jej za złe. Prowincja nie jest znowu taką „prowincją", jak się przypuszcza. W jej kołach wszyscy zachowują się tak, jakby o niczem nie wiedzieli i Leonja Palivier zachowała swą pozycję towarzyską.

— Więc ona się nazywa Leonja?

— Tak, jest zgrabną kobietką o cudownych oczach, różowej cerze i czarnych włosach. Przy tem ma niespełna trzydzieści lat, jest bardzo inteligentna i pochodzi z dobrej rodziny.

— Przedstawiasz mi, kochany kolego, tę kobietkę w tak wspaniałem świetle, że byłbym niepocieszony, gdyby dała mi kosza.

— Najpierw musi pan wiedzieć, czy wogóle będzie pan miał sposobność zalecać się do niej — odpowiedział mu Juljan Trivel.

I ciągnął dalej:

— Podobno można się z łatwością dowiedzieć czy Leonja Palivier ma przyjaciela. W takich wypadkach na kominku w jej salonie stoi wazon Delft z wiązanką żółtych róż, które codziennie są zmieniane... Barwa tych herbacianych róż stanowi tak piękny kontrast z czarnemi włosami Leonji... Mówią, że to jedyny dar, jaki młoda kobieta przyjmuje od swych przyjaciół. Uważa ona róże za poetyczny symbol subtelnych uczuć i pragnie otrzymywać je od tych, których kocha. Jeśli w wazonie Delft pachną róże, to można być być pewnym, że Leonja jest szczęśliwa, a gdy wazon jest pusty, pani Palivier przeżywa okres samotności.

— Dziś wieczór — dodał Juljan — przedstawię pana pani Palivier. Urządza ona przyjęcie z partją bridge'a. Jeśli zobaczy pan na kominku róże, to proszę się nie starać o jej względy, gdyż byłoby to daremnem. Ale gdy wazon będzie pusty, niech pan spróbuje szczęścia. Życzę powodzenia!

Dwaj mężczyźni gawędzili jeszcze przez chwilę, poczem Piotr de Birot wstał, gdy ordynans przyniósł Trivel'owi bilet wizytowy innego podporucznika, Jerzego Rougier'a, który także kilka dni temu został przeniesiony do Aurillac i składał należną wizytę koledze.

— Jeszcze jeden, który chce się ode mnie dowiedzieć, na jakie rozrywki mogą liczyć oficerowie 13 pułku — pomyślał Trivel.

I na ustach porucznika zjawił się znów ironiczny, tajemniczy uśmiech.

* * *

Wieczór zebrało się u pani Palivier liczne towarzystwo. Pani domu przyjęła Piotra de Birot niezwykle uprzejmie, a Piotr patrzył jedynie na nią i na wazon Delft, w którym nie było żadnych róż. Leonja wydawała się młodzieńcowi czarująca; była opanowana, lecz nie zimna, kokieteryjna, ale nie narzucająca się... Rozmawiał z nią dłuższy czas, przekonał się niebawem, że jest miła i dowcipna i zaczął się odrazu do niej zalecać. Z radością zauważył, że pani Palivier chętnie to przyjmowała.

Nazajutrz Piotr de Birot, jadąc konno, jakby przypadkiem spotkał się z Leonją, która jechała w swym powoziku. Młoda kobieta zaprosiła go na herbatę, a ponieważ poprzedniego wieczora miała tylu gości, przyjęła go jakgdyby dla kontrastu — sama.

Jakież rozkoszne są pierwsze wyznania miłosne! Jak słodką jest męka wątpliwości!

Aurillac wydawało się Piotrowi de Birot rajem i mało brakowało, ażeby ten dzielny oficer zaczął zaniedbywać służbę.

Juljan Trivel widział to oczywiście i wyciągał odpowiednie wnioski.

Pewność zdobył dopiero wówczas, gdy zobaczył pewnego ranka, jak Piotr de Birot wybierał starannie w kwiaciarni herbaciane róże, z których kazał ułożyć wspaniały bukiet.

Leonja oparła raz swą czarną, śliczną główkę na szerokiej piersi Piotra de Birot i pomiędzy dwoma pocałunkami szepnęła swym dźwięcznym, pieszczotliwym głosikiem:

— Jeśli chcesz mi sprawić przyjemność, kochanie, to przysyłaj mi zawsze rano kilka róż, które będą mi przypominać twą miłość. Może to przesąd, dziwactwo z mej strony, lecz kocham jedynie kwiaty, otrzymywane od kogoś kochającego mnie.. A ponieważ jestem brunetką i moim ulubionym kolorem jest żółty, proszę cię o róże herbaciane. Będą mnie otaczały swym zapachem, gdy ty nie będziesz mógł być przy mnie i dodadzą mi cierpliwości, kiedy będę cię oczekiwała.

A potem wyszła z mieszkania Birot'a, przypomniawszy mu raz jeszcze, iż oczekuje go w niedzielę wieczór.

— Będą u mnie jak zwykle starzy znajomi, których zaprosiłam na bridge'a i trzeba będzie uważać, żebyśmy się nie zdradzili. Ale przynajmniej będę mogła na ciebie patrzeć, a ty będziesz mógł całować moje ręce!

W niedzielę Juljan Trivel przyszedł do młodej wdowy, jako jeden z pierwszych i zaledwie wszedł do salonu, na jego ustach zjawił się szatański uśmieszek.

Cóż on takiego zobaczył?

Nic nadzwyczajnego!

Kilku zapalonych bridzistów siedziało już przy stolikach. Pani Palivier wydawała się jak zwykle wesoła i zadowolona.

Piotra de Birot jeszcze nie było... Miał przyjść... Juljan Trivel był przekonany o tem, że przyjdzie.

I Piotr istotnie przyszedł. Kroczył jak zwycięzca, miał błyszczące oczy, pewność siebie... Wśród tych wszystkich ludzi tembardziej czuł pełnię swych tajemnych praw.

Skłonił się przed Leonją, złożył długi pocałunek na jej dłoni, a potem odszedł, nie chcąc jej przeszkadzać w wypełnianiu obowiązków pani domu. W tejże chwili spoj-

rzał na kominek i zbladł nagle. Stały tam na prawo w wazonie Delft jego piękne róże, lecz na lewo, koło zegara, były również w wazonie Delft inne róże, także piękne i pachnące.

Czyżby Leonja rozdzieliła wiązankę, którą jej tego ranka posłał, na dwie połowy? Nie, przeliczył róże i przekonał się, że róże w wazonie koło zegara nie były od niego.

— Kocham tylko kwiaty otrzymywane od kogoś kochającego mnie — powiedziała Leonja.

Więc nie tylko jego kochała, jeśli postawiła na kominku dwa wazony z kwiatami. Kto był tym rywalem, którego kwiaty stawiano również na honorowem miejscu?

Piotr de Birot nie potrzebował długo się nad tem zastanawiać. Był to Jerzy Rougier, ów młody porucznik, którego spotkał u Juljana Trivel'a. On także wszedł do salonu jak zwycięzca i świadom swych tajemnych praw, nachylił się nad ręką pani Palivier. Ale potem spojrzał na kominek i bladość go zdradziła. Gdy Birot i Rougier zmierzyli się wzrokiem, zrozumieli się. W salonie nikt nie zauważył ich zmieszania. Nikt prócz Trivel'a, którego wyraz twarzy pozostał wprawdzie niezmieniony, lecz który nie mógł opanować zdradzieckiego błysku w oczach.

Trivel bawił się, a w Aurillac tak mało było sposobności do zabawy...

* * *

W dwa dni później odbył się pojedynek pomiędzy Piotrem de Birot, a Jerzym Rougier'em. Obaj przeciwnicy doznali nic nie znaczących draśnięć, poczem nastąpiło serdeczne pojednanie, zakończone doskonałem śniadaniem, którego oczywiście jednym z najgorliwszych uczestników był Juljan Trivel.

Ale na kominku pani Palivier nie było już żadnych herbacianych róż...

Dokończenie ze str. 15-tej.

jest oczekiwany jak na pustyni, a niedziela bez niego nie jest świętem.

Nie wiem o co to poszło, ale któregoś dnia pokłóciliśmy się z Alą. Marjan i Tadeusz poszedł odnowić zapasy do wioski. Zostałem z Alą. Ja czytam książkę, Ala zamyślona, czesze włosy. Wreszcie wybucha śmiechem.

— Przecież to głupio, mówi, że my nie rozmawiamy.

— Dlaczego, dziwię się.

— No, bo tak...

— Myślisz?

— Uhm...

— No to proszę rozmawiajmy.

Zamykam książkę. Ala przysuwa się bliżej i mówi same miłe i nierozsądne rzeczy. Wszystko to jest jakieś filmowe. Tak przypomina obrazy z końca świata. Naprzykład z Alaski, gdzie dwoje zagubionych w śniegu ludzi... itd.

Wydaje nam się, że zapomnieliśmy już o mieście. Tu niema ludzi i obłudy wielkich środowisk. Nasi gospodarze to jedyne postacie na tej scenie, które poruszając się, jak dotąd nie biorą udziału w naszem życiu. Jesteśmy sami z sobą i wciąż zdani na własne towarzystwo, od którego niema gdzie uciec. Mamy to, czegośmy pragnęli, ale na co nie zasługujemy.

Wszystko to przychodzi mi do głowy — i czemprędzej zawieram zgodę z Alą. Człowiek współżyjący z naturą staje się lepszy, a przynajmniej chce nim być. W nas te uczucia i świadomości zaczynają dopiero kiełkować.

Następny dzień przyniósł sensację. Niebo popsuło się na dobre i wzgórza otuliła mokra mgła. Siompi „kapuśniak". Góry straciły kolor, potok za płotem szemrze głośniej.

Godziny mijają. Jesteśmy sklejeni i niemrawi jak muchy. Zgoła nie czeka nas nic. Kawał błotniskiej drogi może doprowadzić do Wisły, gdzie znajduje się poczta, sklep i karczma. To wszystko, do czego można dobrnąć po długiej wędrówce. Dalej Ustroń, jeszcze dalej świat. Ale to już zbyt daleko.

Jest siódma, kiedy drzwi otwierają się i wchodzi Paweł w koszuli rozchełstanej na piersiach.

— Co robią?

— Nic, deszcz.

— Deszcz... Można siadnąć z niemi?

— Niech siadają.

Paweł wierci się chwilę koło drzwi, wreszcie siada i z kieszeni wyciąga butelkę pełną czerwonego płynu.

— Grzanka.. Wiedzą co to grzanka? — pyta. — Nie wiedzą...?

Paweł nalewa do szklanki, którą przyniósł z sobą, ową tajemniczą grzankę. Lekki obłok pary unosi się z czerwonej powierzchni. Patrzymy z nieufnością na butelkę. Paweł przechyla szklankę do ust, poczem znów nalewa i podsuwa nam.

— Wiwat — mówię.

— A niech będzie.

Jest to gorące, mocne i słodkie. Smakuje nieźle.

— Oni uważyli, czy baba? ...

— Baba, ona umie...

Pijemy pokolei. Ala ostatnia otrzymuje swą porcję. Zawsze była wyróżniana. Teraz jest na szarym końcu. To mnie raduje. Pijemy, kiedy drzwi znowu się uchylają i wchodzi Pawłowa. Ładna, pulchna kobiecina, przekłada z ręki do ręki drugą butelczynę.

— Chodźże tu, oni się nie pogniewają — rzuca mąż.

Lazarowa stawia butelkę na stole i chce odejść, ale ją prosimy, by została. Przysiada nieśmiało, półgębkiem na zydlu. Trzeci gość tego wieczora to matka Pawła, dobrze utrzymana kobieta w białej koronce na głowie. Siada koło pieca. Poprawia garnki, poczem ręką wyjmuje z ognia płonącą drzazgę i zapala nią fajkę na długim cybuchu. Patrzę na Lazarową starą — jak pyka w skupieniu. Jej pomarszczoną twarz — oświetla czerwona łuna z pieca. Stara zdaje się nie słuchać co mówimy. Jest ze swą fajką ponad wszystkiem. Poprostu panuje tutaj w izbie dobrotliwie. Gdyby nie zydel, na którym siedzi i izba — byłaby Indjanką ze swą znakomicie spokojną, zakrzepłą twarzą, dla której niema wzruszeń.

— Tu po lasach dużo zwierzyny. Kłusowników jest paru, co polują po nocach. Najczęściej na zające — mówi Lazar i naraz cichnie, poczem dodaje z wahaniem: A wiedzą co to zając?...

Oczy starej z pod pieca kierują się na nas bez zainteresowania...

— Wiemy — mówię. Podobny do królika...

— Ano!

Wszyscy są nadal poważni, ja ledwo się trzymam i widzę, że z moimi też nie lepiej. Ala opada na łóżko. Jakoś jednak śmiech został stłumiony.

— Więc te zające — ciągnie Lazar. Dużo ich tu...

Tak siedzimy późno w noc. Nazajutrz chmury rozpierzchły się i słońce znowu oblewa swym blaskiem świeżo obmytą zieleń. Ponieważ Paweł przy grzance wspominał o grzybach, więc idziemy w góry do lasu na poszukiwania.

Najpierw kawał drogi ścieżynką, stromemi stokami, potem ciemnym, ponurym lasem. Ślisko na igliwiu. Borówkowe krzaki. Coraz silniej pachnie wilgocią. Schodzimy w dół kotlinki. Podszycie niskie, czające się przy ziemi. Ależ grzybów! Prawdziwy grzybowy raj...

Zapomnieliśmy o obiedzie. Opanowała nas gorączka poszukiwania. Kurki, rydze... Kiedy już nie było do czego zbierać, ruszyliśmy w dół. Przedzieramy się przez las. Za nami już ostatnie pnie, a w dole, i het wkoło rozfalowana wielkiemi rozkołysami ziemia, która zastygła kiedyś i znieruchomiała w najpiękniejszej pozie.

Znieruchomieliśmy. Wkoło u stóp w wielkich od siebie odległościach domki jak punkciki i biała, biedna, jedyna droga. Zaniedbana, jakby dla nikogo zbudowana była, znaczy się jasnym śladem nisko nad strumieniem. Nikt po niej nie jedzie, niemal trawą zarosła, wyboista, opuszczona, jak i ten cały wąwóz, niszczony przez wylewy rzeki i zapomniany przez ludz. Dzika i zaniedbana ziemia, nie zdobyta przez człowieka jeszcze — leży w dole, jakby prosząc o pochwałę dla swej krasy.

Przeżyliśmy w Wiśle wiele dni spokojnych, oddychając czystem powietrzem gór. Myśleliśmy, że nie zabraknie nam miasta, a jednak zawołało nas ono. Najpierw owładnął nas niepokój, zrazu nic nie znaczący, potem wieczory stały się trudne i jakieś puste Lampka naftowa zaczęła drażnić.

Na zawsze pozostała mi w pamięci Wisła, jako dzika scenerja dla dni moich tam spędzonych. Paweł Lazar wydawał mi się wiecznym i jedynym człowiekiem, zamieszkującym Wisłę, i aczkolwiek lata zamgliły jego postać i zatarły rysy — wiedziałem, że gdy zechcę odnajdę go zawsze łatwo.

Minęło szybkich lat 12. Niewiadomo nawet, gdzie się podziały i jak zdołały umknąć tak niepostrzeżenie. Aż oto znalazłem się w autobusie, który miał mnie zawieźć do Wisły.

Kiedy czas upływał, a ja wciąż nie mogłem rozpoznać utrwalonych w pamięci widoków i gdy dowiedziałem się, że nasz samochód, toczący się asfaltową drogą minął Ustroń i zbliża się do Wisły — okres 12 lat i czas nabrały wyrazu. Uświadomiłem sobie, że Wisła, którą zapamiętałem zniknęła na zawsze, zastąpiona przez nowe osiedle, które dopiero mam poznać.

Wielogodzinny pobyt wśród zielonych wzgórz, u źródeł Wisły zapełniły setki cyfr, statystyk, wielomiljonowe sumy i opowiadanie o wysiłkach i pracy, jakiej tu dokonano. Dowiedziałem się, że pierwszą inwestycją dokonaną w obrębie gminy od roku 1926 było uregulowanie dziko płynącej rzeki i potoków górskich na przestrzeni 27 km. Następną inwestycją niezmiernie ważną dla uzdrowiska było ułożenie licznych, wygodnych dróg o trwałych nawierzchniach asfaltowych i kostkowych.

W latach 1928 do 1932 wybudowano wielkim nakładem pieniężnym linję kolejową z Ustronia do Wisły. Linja ta prowadzi wzdłuż doliny uzdrowiska i przerzucona jest w wielu miejscach ponad potokami. Trasa ta w przyszłości ma prowadzić do Zwardonia. W związku z temi inwestycjami, które umożliwiły bardzo szybką przemianę Wisły — zapadłej wioski, w Wisłę — pięknie zabudowane zdrojowisko — zaznaczył się olbrzymi wzrost ruchu budowlanego i frekwencji turystów i kuracjuszy.

Wśród labiryntu nowych budowli wzniesionych na starannie rozparcelowanych gruntach Wisły — niema już śladu dawnej wioski. Mniejwięcej w centrum dzisiejszego uzdrowiska mieszczą się pięknie pomyślane skwery i ogrody, dom kuracyjny, basen kąpielowy i inne reprezentacyjne budowle. Na terenie Wisły 36 miljonów inwestowanych przez województwo śląskie dokonały olbrzymiej przemiany. Plany rozbudowy Wisły na najbliższe lata pozwalają przypuszczać, że uzdrowisko to będące już dzisiaj czemś imponującem, należeć będzie do najpiękniejszych w Polsce.

Wieczorem tego samego dnia opuściłem Wisłę, zachowując podziw i sympatję dla nowo poznanej miejscowości. Obraz starej Wisły pozostał nienaruszony, bowiem to, co wyrosło na jej miejscu nie zachowało nic z uroków dawnego odludzia.

J. M. Brzeski.

nie stóp z pomocą olejku migdałowego.



NOWOCZESNA KOSMETYKA
XIV. PIELĘGNACJA NÓG

Moda noszenia sandałków greckich do sukien balowych postawiła odrazu sprawę pielęgnacji nóg na naczelnem miejscu w dziedzinie kosmetyki. A był najwyższy już czas po temu, bo zgniecione w ciasnych bucikach, pozostawały stopy w wielkiem zapomnieniu, tem bardziej rażącem, że praca, jaką spełniają nogi, jest istotnie poważna i należy im się stanowczo więcej miejsca w codziennej tualecie.

Lato dostarcza na to najwięcej sposobności. To też kto ma tego rodzaju zaniedbania na sumieniu, może najłatwiej rozpocząć pielęgnację nóg w czasie urlopu czy wakacyj szkolnych. Pierwszym nakazem, który trzeba niezwłocznie spełnić, to dostarczenie stopom jak największej ilości świeżego powietrza. Chodzenie bez pończoch a częściowo i bez bucików, będzie obok starannego zmywania nóg, wstępem do zabiegów kosmetycznych.

Omówmy odrazu sprawę bucików. Jaki bucik odpowiada wymogom higjeny i potrzebom chwili, dyktowanych przez modę, o której zapominać nie można. Buciki trzeba zmieniać w ciągu dnia. Do spacerowania przez czas dłuższy ubierajmy buciki szersze o płaskim obcasie. Do chodzenia po domu, jak i do wyjścia wieczorem niechaj służą pantofelki na wysokich obcasach, bo pamiętajmy, że zarówno stałe używanie bucików na niskim, jak i na wysokim obcasie jest szkodliwe. Trzeba używać tych i tamtych. Równie zasadnicze znaczenie ma kwestja bardziej i mniej obcisłego obuwia. Nie można stale nosić bucików zbyt szerokich i wygodnych. Trzewik bowiem, który dobrze trzyma nogę, a więc jest nieco bardziej obcisły, wskazany jest dla zachowania kształtu nogi.

Zmiana obuwia w ciągu dnia jest konieczna nietylko ze względu na przystosowanie odpowiedniego typu bucików, ale też i dla ochłodzenia nogi, rozgrzanej w trzewiku, — dla dostarczenia jej dostępu powietrza, tak koniecznego dla zdrowia.

Pełnia lata, w którem się znajdujemy, niechaj posłuży szczególnie temu samemu celowi. Kto spędza wakacje nad morzem, spełnia bez namysłu ten ważny postulat, ale na letniskach pozbawionych basenów, trzeba stwarzać dla nóg odpowiednie warunki udostępnienia im powietrza i wody.

Bez kąpieli nie może być mowy o zdrowych, a co za tem idzie i o pięknych nogach, jakich wymaga moda. To też chodząc na letnisku bez pończoch, trzeba prócz codziennej kąpieli stosować jak najczęstsze zmywania nóg, zapewniające swobodne oddychanie skóry wszystkiemi porami.

Codzienna kąpiel nie może być zbyt gorąca, bo zmiękczałyby tylko niepotrzebnie tkanki, powodując z czasem zdeformowanie kształtu nogi. W kąpieli należy dobrze namydlać i dobrze wypłókiwać nogi, potem je wyszczotkować dla pobudzenia krążenia krwi i podnieść je do góry, leżąc w wannie, aby odciążyć na kilka minut naczynia krwionośne. Działa to zarazem korzystnie na wysmukły kształt nogi.

Polewanie nóg zimną wodą kończy codzienną kąpiel, po której należy natrzeć je oliwą kamforową, a stopy olejkiem migdałowym dla zmiękczenia skóry. Naciera się stopy w kierunku od palców do pięty.

Dokończenie na str. 31-ej.



Zarówno buciki sportowe, jak i pantofelki wizytowe i wieczorowe posiadają obecnie otwarte kapki, z wolnem miejscem na duży palec stopy.



Sandałki na grubej podeszwie i obcasie z elastycznego korka (Bally) są lekkie i niezwykle wygodne.

Sezon nad morzem kończy się u nas właściwie już z dniem 15 sierpnia, choć zawsze znajdą się tacy, którzy dowodzić będą, że najprzyjemniejsze chwile spędzili na plażach Bałtyku wczesną jesienią. Rzecz prosta, iż wszystko zależy tu od stanu pogody. Po zimnem, deszczowem lecie — ciepła, słoneczna jesień nie jest u nas rzadkiem zjawiskiem i dlatego nieraz nawet przez wrzesień można się było od biedy kąpać w Bałtyku. Na to się jednak w tym roku nie zanosi i ci wszyscy, którzy dopiero teraz wyruszą na wywczasy, jeśli koniecznie zechcą zażywać morskich kąpieli, będą musieli pofrunąć na plaże Południa.

Z wybiciem ostatniej godziny bujnego życia nad morzem rozpoczyna się dopiero właściwy sezon w górach. Nie znaczy to, aby i w ciągu lata ludzie nie jeździli do górskich uzdrowisk. Ale tak się już utarło, że wczesna jesień jest dla high-life'u ową porą, w której, wzorem zagranicy, najchętniej odbywa on swe dolce far niente na stokach Tatr. Pod względem formy stroju następuje tu w porównaniu z okresem plażowania duża zmiana — w materjale samym właściwie nic się nie zmienia, bo na plaży króluje wełna w przeróżnych odmianach trykotów i obecnie w górach widzimy ją w postaci grubszych szewiotów i home-spunów klasycznych kombinacyj sportowych. Piszemy klasycznych, bo te, które nosi się w ciągu lata, są poniekąd namiastką choćby ze względu na sam materjał, w lecie najczęściej fresko, różne płótna, flanele, lub ostatnio tak modny wełnolen. Klasyczna kombinacja pozostanie zawsze formą stroju sportowego, który właściwie uznaje tylko grubsze tkaniny wełniane, możliwe do noszenia wówczas, gdy ustają upały, względnie tam, gdzie są one krótkotrwałe. I dlatego w okresie przejściowym, szczególnie w górach, ten rodzaj stroju bardzo się nadaje i jest chętnie noszony przez świat elegancki. W porównaniu z wiosną zmieniły się tylko obecnie poglądy na sam wzór materjałów, z których szyje się marynarki. Podczas gdy bowiem przedtem utrzymywała się tendencja do zachowania bardzo drobnych wzorów, obecnie coraz częściej pojawia się duża krata w różnych odmianach, zawsze jednak do całkiem gładkich spodni. Uzupełnieniem kombinacji są coraz żywsze w kolorach szale, flanelowe koszule i wełniane krawaty.

Brummel.



ŁAMIGŁÓWKI ◆ MODY ◆ MĘSKIEJ

Z GORĄCYCH PLAŻ NA STOKI ZIMNYCH GÓR



● Podczas gdy niejeden woli jeszcze ryzykować pobyt nad Bałtykiem w okresie zbliżającej się jesieni, lub w pogoni za żarem słonecznych promieni jedzie na Południe z zapasem modnych trykotów i shortów...

● ...inni wybierają się na sezon wczesno-jesienny w góry, gdzie niepodzielnie zaczyna swe władztwo kombinacja sportowa z grubych szewiotów i home-spunów, uzupełniona pulowerami i szalami z wełny i jedwabiu.



MARS

Gwałtowna i wspaniała planeta, nazywana przyjaciółką słońca, dała pani naturę pełną temperamentu i pod każdym względem bardzo przedsiębiorczą. Pod znakiem jej przyszły na świat chyba wszystkie córy Południa, które chętnie stroją się w barwy czerwone we wszelkich odcieniach.





MERKURY

Wpływ tej planety rozciąga się na cały system nerwowy. Będzie pani zapewne zmienna, sprytna, zyskująca sobie sympatję i łatwo dostosowująca się do okoliczności. Powinna pani też faworyzować kolory iryzujące, kombinowane, a w materjałach: szkocką kratę, kropki i paski.





SŁOŃCE

Wspaniałe źródło życia na naszym globie, którego promienie powodują nieoczekiwane zmiany w naszej psychice. Osoby, urodzone pod znakiem tej planety, lgną zawsze do koloru słońca, a więc złotego lub purpurowego i — jeśli chodzi o kobiety — przepadają zwykle za biżuterją.





KSIĘŻYC

Kolory, odpowiadające tej planecie, to: popielaty w różnych odcieniach i srebrzysty. Z materjałów w grę wchodzą: muśliny i lamy srebrne. Uwaga! Zwłaszcza tualety wieczorowe, noszone w porze, kiedy księżyc ukazuje się na niebie, powinny być z barwą jego tarczy sharmonizowane.



PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka obliczone na 3—4 osoby.

PRZYSTAWKA Z GRZYBKÓW. Drobno pokrajane, dokładnie oczyszczone grzybki, dusi się z łyżką masła bez dodatku wody, bo grzybki obficie wydzielają sok. Uduszone mięsza się z paru łyżkami ugotowanego i przetartego zielonego groszku, dodaje kilka szyjek i szczypców rakowych, pokrajanych w kawałki, 1 jaje, szczyptę soli i pieprzu oraz parę łyżek tartej bułki, tj. tyle, aby z masy można było formować małe krokietki, które się panieruje i szybko w maśle osmaża. Masę powyższą możnaby również nakładać na muszelki, kropić masłem i zapiekać.

PIKANTNE JAJA. 8 jaj ugotowanych na twardo przekrawuje się wzdłuż. Z połowy jaj wyjmuje się żółtka, rozciera je z paru łyżkami oliwy, łyżką octu i musztardy, szczyptą soli i pieprzu na gęsty sos. Drugą połowę żółtek sieka się i miesza z oczyszczoną i również posiekaną sardelką, łyżką mielonej szynki i takąż ilością posiekanych pikli lub korniszonów, mieszaniną tą napełnia się połówki białek, które się układa na szklanym talerzu i polewa przygotowanym (jak wyżej) sosem. Talerz przybiera się rzodkiewką zieloną, pietruszką i plasterkami pomidora, skropionemi sokiem cytrynowym.

FAŁSZYWY ZAJĄC. 50 dkg mięsa wołowego, cielęcego i wieprzowego razem, przemiela się parę razy wraz z rozmiękłą w wodzie bułeczką, dodaje 1—2 jaj, soli i pieprzu oraz troszkę smażonej cebulki i miesza łyżką przez 10 minut aż masa zbieleje, wtedy formuje się z mięsa kształt combra zajęczego i szpikuje gęsto młodą słoninką. Na brytwankę daje się 5 dkg pokrajanej drobno słoniny i smaży na niej łyżkę cebuli, również drobno pokrajanej, potem dodaje się łyżkę kaparów, kilka ziarn jałowca, listek bobkowy, układa na tem przygotowane mięsa, oblewa się je gorącem masłem i piecze przy częstem polewaniu. Wkończu oblewa się mięso 1/8 litra kwaśnej śmietany, zmieszanej z łyżeczką octu i dopieka jeszcze przez kilka minut w bardzo gorącym piecyku. Po wyjęciu brytwanki z pieca nie wyjmuje się mięsa zaraz, lecz przestudza je naprzód, gdyż mogłoby się łatwo pokruszyć. Wyjęte mięso kraje się na półmisku w skośne plastry z obu stron tak, jak pieczeń zajęczą. Sos należy przefasować i podać osobno w sosjerce. Jako dodatek do mięsa włoski lub domowy makaron.

TARKONJA (TARTE CIASTO) Z GRZYBKAMI. Z 1—2 jaj, łyżki wody i odpowiedniej ilości mąki zagniata się bardzo tęgie ciasto, które się następnie ściera na tarle i przesusza w piecyku do zrumienienia. Łyżkę siekanej cebuli smaży się na tłuszczu, wsypuje tarte ciasto i smaży jeszcze przez chwilkę razem, następnie zalewa się pół litrem wrzącej wody, dodaje soli i pieprzu i dusi, jak ryż na sypko. Wkończu dodaje się kilka łyżek uduszonych osobno grzybków lub zielonego groszku albo jedno i drugie, miesza i wydaje polane masłem.

KALAREPKA ZAPIEKANA. Pokrajaną w niezbyt cienkie plastry kalarepkę parzy się i dusi następnie z łyżką masła. 15—20 dkg resztek pieczeni wieprzowej lub innej, miele się, miesza z uduszoną kalarepką i troszką soli oraz łyżką siekanej pietruszki i nakłada całą masę do ryneczki, natartej masłem. Wierzch potrawy polewa się ósemką śmietany, roztrzepaną z dwoma żółtkami oraz łyżką sosu z pod pieczeni i wstawia na pół godziny do gorącego piecyka. Potrawę wyłożoną na półmisek otacza się ryżem lub ziemniaczkami i oblewa gęstym sosem pomidorowym, który jednak nie jest koniecznym, można również dobrze podać potrawę oblaną rumianem masłem.

GELEE Z MALIN I PORZECZEK. Litr malin i tyleż porzeczek przeciera się przez sito, odważa przetartą masę i dodaje tę samą ilość cukru, poczem zagotowuje się wszystko, zbiera piany i odstawia. Po godzinie dogotowuje się konserwę, stwierdza czy się dobrze ścina przez spuszczenie kropli na talerzyk i zlewa gorące do słoja. Owiązuje się na drugi dzień, t. j. po zupełnem ostudzeniu.

PORZECZKI Z POMIDORAMI NA KONSERWĘ. 1 kg pomidorów i 1 kg porzeczek, rozgotowuje się i przeciera przez włosiane sito. Dodawszy do przetartej masy 50 dkg cukru, gotuje się wszystko razem wśród mieszania na gęstą marmoladę, którą się na gorąco wlewa do słoików. Marmolada ta służy jako dodatek przy sporządzaniu pikantnych sosów do dziczyzny.

FILETY OGÓRKOWE (KONSERWA). Duże dojrzałe ogórki obiera się, przekrawuje i wydrąża, oczyszczając z miąższu i pestek. Następnie kraje się je wzdłuż w paski na palec grube, nasala i odstawia na 24 godziny. Dobry, silny ocet winny zagotowuje się z dodatkiem 10 ziarn pieprzu czarnego i tyleż pieprzu angielskiego, oraz 4 listków bobkowych. Ogórki doskonale osączone z powstałego soku, wykłada się na czystą, wyparzoną i dobrze wykręconą z wody serwetę, a kiedy obeschną, układa się je w słoju, przesypując ziarnkami białej gorczycy i grubo tartym chrzanem. Również paski czerwonej papryki oraz maleńkie cebulki, tzw. szalotki, ładnie wyglądają między filetami. Napełniony słój zalewa się wrzącym octem. Po 5 dniach zlewa się ocet z ogórków, zagotowuje, wystudza i ponownie ogórki zalewa.

Sc. Ke.

PRAKTYCZNE WSKAZÓWKI W GOSPODARSTWIE DOMOWEM



Doskonałym napojem, podawanym wieczorem podczas dni upalnych jest bowla poziomkowa. Sposób jej przyrządzenia jest następujący: funt oczyszczonych poziomek posypuje się cukrem i skrapia sokiem cytrynowym, poczem zalewa się na nie litr dobrego białego wina i pozostawia przez 2—3 godzin przed przyjęciem. Podając bowlę na stół dolewa się jeszcze dwie flaszki wina, dobrze przytem zamrożonego, oraz ewentualne flaszkę szampana.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Tydzień 35 — **Sierpień** — 31 dni



Dzień	Jadłospis
NIEDZIELA 21 Joanny, Franc.	Zupa rakowa z ryżem. Przystawka z grzybków na muszelkach. Gęś pieczona z kapustą parzonką. Bomba z melona. Kolacja: Pikantne jaja.
PONIEDZ. 22 Tymoteusza	Zupa neapolitańska. Kalarepka zapiekana. Fałszywy zając z buraczkami. Kompot mieszany. Kolacja: Ziemniaczki z zsiadłem mlekiem.
WTOREK 23 Filipa Joach.	Rosół z jarzynkami. Sztuka mięsa z sosem ogórkowym. Pieczeń cielęca z marchewką i groszkiem. Ciastka agrestowe. Kolacja: Tarkonia z grzybkami.
ŚRODA 24 Bartłomieja ap.	Chłodnik ogórkowy. Kapuśniaczki drożdżowe. Pieczeń sarnia w sosie porzeczkowym z pomidorami. Gruszki w kremie. Kolacja: Duszone rydze z ziemniaczkami.
CZWARTEK 25 Ludwika kr.	Zupa jabłeczna z grzankami. Ryż z zielonym groszkiem. Kurczę w potrawce z kładzionemi kluseczkami. Kruchy placek z morelami. Kolacja: Pasztet sarni na zimno.
PIĄTEK 26 MB. Częstoch	Makaron na śmietanie. Biała kapusta gotowana w wodzie polana masłem. Karp w galarecie. Strudel z jabłkami. Kolacja: Pierożki z jagodami.
SOBOTA 27 Rzen. św. Kaz.	Rosół z kaszką krajaną. Faszerowane pomidory. Polędwica wieprzowa z kapustą. Jabłka w cieście. Kolacja: Hachée z mięsa z rosołu.



HOCKI-KLOCKI

PO ZWYCIĘSTWIE.



— A zatem wszystko w porządku... ja i moja rękawica przepraszamy!

TANCERKI MIĘDZY SOBĄ.



— Jak się nazywa ten typek, który podarował ci samochód?

— Artur, Stanisław, Józef, Maksymiljan.

— Co? ma aż cztery imiona?...

— Ależ nie... ich było czterech!

Rozwiązania z Nru 33-go.

BŁĄD.

296—7 = 17.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

SZYBKOŚĆ POCIĄGÓW.

Dwa pociągi jechały na torach, leżących w stosunku do siebie pod kątem prostym. Po godzinie jeden z nich był oddalony o 10 kilometrów dalej niż drugi od miejsca skrzyżowania. Wówczas pociągi te skręciły znów o 90 stopni, ale teraz druga lokomotywa jechała o 10 km na godzinę szybciej. Gdy po dalszej godzinie maszyniści zatrzymali się w jednem i tem samem miejscu zauważyli zgodnie: okrążyliśmy obszar 9975 kilometrów kwadratowych.

Z jaką szybkością jechały pociągi?

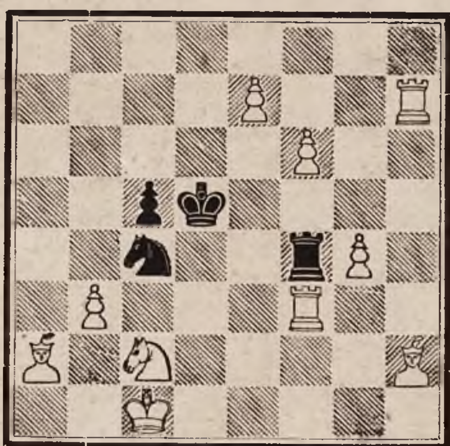
KOCHAJĄCE NARZECZONE.

Nasi znajomi Henryk, Władysław, Karol i Zygmunt byli zaręczeni, a narzeczone, które wyjechały na wakacje pisywały do nich bardzo często. Zosia wysyłała do Henryka kartki co jeden dzień częściej, aniżeli Stefcia do Władysława i taka sama różnica była pomiędzy Janką a narzeczoną Zygmunta Irką. Wszystkie panny zawiadomiły narzeczonych o szczęśliwie przebytej podróży już w pierwszy dzień przyjazdu. Jak często pisywały, skoro w ciągu 2 tygodni wysłały 28 kartek i listów?

NA POSIEDZENIU.

Na pewnem posiedzeniu było więcej kobiet, niż mężczyzn o tyle, ile wynosiła ilość obecnych małżeństw. Kawalerów było o czterech więcej niż żonatych, a panien było o czternaście więcej, niż mężatek. W zebraniu brało udział czterech wdowców i sześć wdów. Ile mężczyzn i kobiet było na zebraniu?

ZADANIE SZACHOWE.
W. A. Shinkman (U. S. A.)



Mat w 3 posunięciach.

Białe: Król c1, wieże f3, h7, gońce a2, h2, skoczek c2, piony b3, e7, f6, g4. **Czarne:** król d5, wieża f4, skoczek c4, pion c5 (10+4).

Dokończenie ze str. 25-ej.

Po kąpieli poświęcić trzeba kilka minut dla ćwiczeń, uelastyczniających nogi, stopy i palce. Poruszajmy w tym celu każdym palcem u nóg z osobna, aby uniezależniały się od siebie wzajemnie. Kilka ruchów kolistych każdą nogą z osobna, jest bardzo wskazane przed ubieraniem pończoszek. Przy tem kołowaniu końce palców trzeba skierowywać do ziemi.

Przy rannej i wieczornej tualecie najlepiej jest chodzić boso, bo tym sposobem automatycznie przez cały rok oddajemy naszym nogom tę cenną przysługę, że pozwalamy im zetknąć się bodaj trochę z powietrzem, przed którem są zawsze osłonięte.

Zapewniwszy nogom bodaj te najprymitywniejsze starania o ich zdrowie i naturalne piękno, możemy dopiero pomyśleć o ich szminkowaniu w razie potrzeby do wieczornej tualety i sandałków. Jako podkładu używamy wówczas tego samego odcienia co dla twarzy, szyi i ramion. Na nim można dopiero dać lekkie cienie z różu na podbicie i na piętę. Tu zajmuje się mniej więcej tyle miejsca, ile zajmuje go na jedwabnej pończoszce trójkącik podwójny nad piętą. Wysmukla to bardzo nogę, nadając jej ładną linję. Ubierając sandałki bez pończoch, trzeba też ładnie lakierować paznokcie, ale to już zagadnienie pedicure, które najlepiej zrobi specjalistka. **ELWIRA.**

NA PLAŻY.



— Musimy kiedyś przyjść wcześniej, aby zobaczyć morze...

W MAŁŻEŃSKIEJ SYPIALNI.



— Czy nie przypominasz sobie, kochana, cośmy tu robili, zanim założono nam lampę nad łóżkiem?

O tak! – to warto

przeczytać... zobaczyć... usłyszeć...



NOWE KSIĄŻKI

Krzysztof Eydziatowicz: Kulisy radjofonji (nakładem wydawnictwa „Książki o radjo"). Ukazała się na półkach księgarskich niezmiernie ciekawa książka ukazująca nam kulisy radjofonji. Krzysztof Eydziatowicz opiera swe rozważania na temat radjofonji na długotrwałych badaniach, prowadzonych przez „Biuro studjów" przy Polskiem Radju. Po raz pierwszy otrzymuje dzieło omawiające w tak wszechstronny i wyczerpujący sposób wszelkie problemy związane z radjofonją. Autor daje nam niezwykle obfity materjał statystyczny, ukazuje nam rozwój radjofonji światowej i polskiej, następnie wtajemnicza nas w szczegóły montowania programu radjowego. Te „kulisy" radja są w tej książce najciekawsze. Dowiadujemy się z nich o wielkich trudnościach, na jakie natrafia radjofonja, pragnąc zadowolnić wszystkich słuchaczy wsi i miasta. Okazuje się bowiem, że 90 procent abonentów słucha radja od godz. 19 do 22 — w tych trzech godzinach trzeba pomieścić audycje muzyczne, słuchowiska, muzykę taneczną, pogadanki, wiadomości bieżące, sport itd.

Niezmiernie ciekawe są wywody autora, mówiące o radju, jako o nowej sztuce. Radjo — podobnie jak film — musi szukać nowych dróg i nowych sposobów artystycznego wyrazu. Podobnie jak w filmie — dopóki panowała tam teatralna rutyna, dopóty film był lichą namiastką teatru. Dopiero gdy Muza zerwała z prawidłami teatru, film stał się sztuką. Radjo jest światem dźwięków. Musimy się tu posługiwać wyłącznie słuchem. Oczy nam przy słuchaniu radja raczej przeszkadzają. Trudno się wszak skupić przy słuchaniu, gdy wzrok nasz błąka się po mieszkaniu. Przywykliśmy jednak do tego, że większość naszych wrażeń doznajemy przy pomocy wzroku. Dlatego słuch mamy w stosunku do wzroku o wiele mniej wyrobiony. Radjo jest młodsze od filmu o lat 20. Publiczność korzysta z radjofonji dopiero od lat kilkunastu, to też wiele osób nie doszło jeszcze do odpowiedniej wprawy w słuchaniu radja. Natomiast młodzież, która wychowała się już w atmosferze radjowej, o wiele lepiej daje sobie radę.

Książka Eydziatowicza zawiera wiele niezwykle cennego materjału dla każdego radjosłuchacza. Jest to pierwsza próba systematycznego ujęcia wszelkich problemów radjofonji, odgrywającej w naszem życiu prywatnem, jak w życiu społecznem coraz większą rolę.

zg.

NA SCENIE

WARSZAWA. Teatr Mały gra komedję Andrzeja Birabeau **„Pani Natura"**, która na scenkach bulwarowych Paryża cieszy się wielkiem powodzeniem. Jak wszystkie tego rodzaju sztuki francuskie, „Pani Natura" nie odznacza się głębią psychologicznego ujęcia tematu, który sam dla siebie pozostaje papierowym konceptem autora, mało mającym wspólnego z życiowym realizmem, szczególnie tym, którym pulsuje życie metropolji świata. Dlatego też szereg sytuacyj, jakie wynikają z żywej akcji komedji, nie przekonują widza, bawiąc go jedynie doskonałą formą scenicznego ujęcia i, zależnie od obsady, aktorskiem wykonaniem. W Teatrze Małym ta strona spektaklu stoi na wyżynie. Na pierwszy plan wybija się trójka młodych w osobach S. Stępniówny, J. Kaliszewskiego i T. Fijewskiego, który okazał się utalentowanym aktorem charakterystycznym. I inne role posiadają doskonałych wykonawców. Są nimi: M. Kamińska, H. Parysiewiczówna, J. Woskowski, S. Grolicki, J. Kordowski, K. Wilamowski, T. Chmielewski i M. Zajączkowski. Zwracają uwagę gustowne dekoracje Z. Węgierkowej i nienaganna reżyserja Z. Ziembińskiego.

W Teatrze Letnim występuje gościnnie doskonały aktor charakterystyczny sceny krakowskiej **Kazimierz Szubert** w komedji J. Doilleta **„Kłopoty Bourrachona"**. Szubert odtwarza postać profesora Bruneau i świetnie sekunduje M. Zniczowi, który gra rolę tytułową. Stolica podzieliła się na dwa obozy, z których jeden przyznaje pierwszeństwo Szubertowi, drugi zaś Zniczowi w maestrji gry scenicznej.

J. L.

MUZYKA W ETERZE

Transmisja z Salzburga opery Straussa „Kawaler srebrnej róży". W sierpniu zbliża się muzyczne święto całej Europy, a nawet całego świata. Jest to festival muzyczny w Salzburgu. Polscy radjosłuchacze już od lat kilku uczestniczą w tych wielkich uroczystościach, gdyż Polskie Radjo od kilku lat transmituje niektóre imprezy z salzburskiego festivalu. W roku bieżącym postanowiono uraczyć polskich radjosłuchaczy jedną z najwspanialszych oper Ryszarda Straussa: „Kawaler srebrnej róży".

Dnia 22 sierpnia w poniedziałek, o godz. 19.00 usłyszą radjosłuchacze tę typowo wiedeńską komedję muzyczną, w której Rysz. Strauss w sposób mistrzowski oddał atmosferę panującą wśród wiedeńskiej arystokracji z czasów Baroku. Śmiech miesza się tu z prawdziwemi, głębokiemi uczuciami, komiczna postać barona Ochsa von Lerhenau, starego pyszałka, uwodziciela i rozpustnika kontrastuje z wytworną postacią księżnej. Baron pragnie ratować swe nadszarpane finanse małżeństwem z młodą dziewczyną, mieszczanką. Jako posłańca miłości wysyła do niej młodziutkiego hrabiego Oktawiana, „kawalera srebrnej róży", przedmiot starzejącej się księżnej. Oktavian zakochuje się w dziewczynie, księżna z godnością rezygnuje ze swej miłości, baronowi Ochsowi zaś młoda para daje nauczkę, sprowadzając go do oberży na schadzkę z domniemaną pokojówką. Pokojówką tą jest przebrany Oktawian. Skompromitowany baron musi ustąpić.

Operę tę usłyszą radjosłuchacze w wykonaniu orkiestry Wiedeńskiej Filharmonji pod dyr. Hansa Knapertsbuscha oraz solistów: Hildy Konetzni, Frietze Krenna, Marty Rohs, W. Grossmana, Galosa, Helgi Rozwaenge itd.

NAJLEPSZE AUDYCJE POLSKIEGO RADJA

Niedziela — d. 21. VIII.

11.45 „Piosenka zdobywa świat", odczyt red. Juljusza Leo w dziale „Kultura i sztuka".
12.03 Poranek symfoniczny.
16.30 „W gościnie u generała Dąbrowskiego". — Kurant staroświecki.
17.30 Tygodnik dźwiękowy.
18.00 Podwieczorek z tarasu gmachu Polskiej YMCA.
22.00 „W muzykalnym pensjonacie" — audycja z cyklu „W letni wieczór".

Poniedziałek d. 22. VIII.

18.10 Recital klarnetowy Ludwika Kurkiewicza.
18.30 Audycja konkursowa Polskiego Radja.
19.00 Transmisja z Festivalu w Salzburgu opery Straussa „Kawaler srebrnej róży".

Wtorek d. 23. VIII.

16.00 Koncert w wyk. orkiestry Rozgłośni wileńskiej.
18.10 Koncert kameralny.
19.00 Arje operowe w wyk. Władysławy Żelazowskiej.
19.30 „Na balu z przed ćwierć wieku" — koncert rozrywkowy.
21.10. Muzyka duńska — transmisja z Kopenhagi.

Środa d. 24. VIII.

16.00 Gra Sekstet Salonowy Stefana Rachonia.
19.00 Utwory wiolenczelowe w wykonaniu T. Kowalskiego.
19.30 „Wspomnienia z dzieciństwa" — koncert rozrywkowy.
21.10 Koncert chopinowski w wykonaniu Jana Bereżyńskiego.
22.00 „Pięć wieków dawnej muzyki" — audycja X-ta.

Czwartek d. 25. VIII.

16.00 „Melodje północy" — koncert.
17.00 Transmisja otwarcia Dorocznej Wystawy Radjowej.
18.30 Słuchowisko: „Pełną parą do Hong-Kong".
19.00 Zespół ludowy Franciszka Kosińskiego.
19.30 „Podróżujmy" — koncert rozrywkowy.
21.00 Transmisja z II Międzynarodowego Festivalu Muzyki Kameralnej.

Piątek d. 26. VIII.

16.00 Suity w wyk. Orkiestry Rozgłośni Wileńskiej.
17.00 Koncert Kapeli Ludowej z D. W. R.
18.10 Utwory fortepianowe Jana Brahmsa.
19.00 „Pieśni trubadurów i wagantów".
22.00 Koncert symfoniczny. W programie muzyka francuska.

Sobota d. 27. VIII.

15.15 Słuchowisko dla dzieci — „Skrzydlaty chłopiec" — wg powieści Makuszyńskiego.
16.00 „Na manewrach" — audycja muzyczna.
18.10 Koncert solistów.
19.00 Gra zespół Miszułowicza i Butkiewicza. Transmisja z D. W. R.
21.00 Transmisja z Rzymu oper Pucciniego: „Płaszcz" i „Siostra Angelika".

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa", zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych materjałów Redakcja nie zwraca

Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczania egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A. — PRINTED IN POLAND.